Nr. 34 (25) Lwów, dnia 1. Grudnia 1888 r. Rok I (II)



Pismo poświęcone literaturze, sztukom pięknym, nauce i sprawom społecznym.

Prenumerata wynosi w Galicyi: Rocznie 6 złr., półrocznie 3 złr. kwart. 1 zł. 50 ct., mies. 50 ct. Skład w drukarni W. Manieckiego Lwów. | W Księstwie Poznańskiem: Rocznie 12 marek, półrocznie 6 marek ćwierćrocz. 3 m., miesięcz. 1 m. Skład w Poznaniu u J. Leitgebra i Ski

Wydawcy: **Józef Rogosz i Stanisław Błotnicki.** — Redakcja i Administracja *„Ruchu i Wieczorów zimowych“* **w drukarni nar. W. Manieckiego ulica Kopernika l. 7 we Lwowie.**

„Ruch i Wieczory zimowe“ **wychodzą we Lwowie trzy razy na miesiąc, a mianowicie**: każdego 1-go. 10-go i 20-go.

W ŚMIERTELNYCH ZAPASACH

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

osnuta na tle stosunków Wielkopolskich

przez

JÓZEFA ROGOSZA.

(Ciąg dalszy.)

XVIII.

Pan Miliński nie mógł się dłużej namyślać. Nie otrzymawszy znikąd pieniędzy, rad nierad musiał nareszcie pojechać do barona Maurycego. Chociaż rozumiał swoje położenie i w duchu wielce się trwożył, mimo to chcąc się ocalić jak tonący, gdy w ostateczności nawet brzytwy się chwyta, zdawał się i on na łaskę swego sąsiada.

Gdy konie jego zatrzymały się przed bramą w Komarowie, baron Fryderyk, który właśnie stał w oknie, zobaczywszy kto przyjechał, zbiegł na dół z żywością prawie młodzieńczą i tak dobrze obliczył, że spotkał go w połowie ogrodu. Znajdowali się w alei, tak zakryci, że ich ani ze dworu, ani z kantoru nie było widać.

— Pan idziesz po pieniądze do mego brata? — archeolog krótko przemówił:

Pan Miliński wypatrzył się na niego, jakby go chciał zapytać, zkąd wie o tem.

— Niech się pan nie żenuje, przecie mówiliśmy już o tej sprawie.

— Tak jest — odrzekł zapytany.

— A nie mogłeś pan znaleźć innego sposobu wyjścia?

— Nie.

— W takim razie pozwolisz pan, że ci coś powiem. Nie bierz od mego brata pieniędzy, bo to cię gotowe zbubić, a jeżeli nie możesz sobie poradzić, ja ci pożyczę. Oddasz, kiedy pan będziesz miał, nie oddasz, mniejsza o to..

Nasz przyjaciel zamiast się ucieszyć, czoło zachmurzył. Archeolog mimo szlachetności serca, zrobił mu tę propozycję w formie tak niezręcznej, że żadną miarą nie mógł jej przyjąć. Wszak on jałmużny nie potrzebował i nawet wtedy ręki by po nią nie wyciągnął, gdyby na utrzymanie swojej rodziny musiał jak prosty robotnik zarabiać. Niemiec nieprzyzwyczajony do delikatnych form towarzyskich, niemało się też zdziwił, gdy od pana Milińskiego następującą odpowiedź otrzymał:

— Nieskończenie jestem obowiązany panu baronowi za jego szlachetną propozycję, ale mimo najszczerszych chęci nie mogę z niej korzystać.

— Wolno wiedzieć czemu?

— Li dla tego, panie baronie, że gdy interes robię, wiem z góry, ile mam uiścić, przeciwnie dług wdzięczności bywa czasem tak wielki, że go przez całe życie nie można spłacić.

Archeolog ściągnął brwi i usta zaczął ruszać, jakby co przeżuwał.

— Trudna z wami rada panowie — rzekł na towarzysza nie patrząc. — Zanadtoście lekkomyślni i zanadto dumni... Potraficie pięknie zginąć, nie umiecie żyć praktycznie... Woborny z was materjał dla romantyków, najgorszy dla mężów stanu... Ale trudna rada... Już ja was nie przerobię. Idź pan, idź i rób, co uważasz za lepsze.

To powiedziawszy, ukłonił mu się zimno i odszedł w przeciwną stronę. Pan Miliński został na dawnem miejscu i czas jakiś spoglądał za odchodzącym. Przykro mu było, że go może zranił, lecz w tej chwili nie mógł go przeprosić, ponieważ czyniąc to, musiałby równocześnie wziąść od niego pieniądze, a on łaski nie chciał. Archeolog w rzeczy samej dobrze go osądził. Pan Miliński, mimo iż był człowiekiem skromnym, pracowitym i oszczędnym; mimo że pod bardzo wielu względami należał do ludzi wzorowych i pilnie się wystrzegał by go nikt o kastowość nie posądził, mimo to w głębi duszy nie przestał być dumnym szlachcicem, który aby się ocalić, nie umiał ani w obec żony być tyranem, ani od sąsiada Niemca, nie byłby wstanie przyjąć dobrodziejstwa.

Poszedł tedy prosto do kantoru

I podczas gdy on z baronem Maurycym interes omawiał, rewers podpisywał i talary przeliczał, aby Trzciniec ratować, po drugiej stronie jeziora hrabiowie Wągrowscy zajmowali się także Trzcińcem i jego mieszkancami.

Dnia tego młody hrabia był od rana niespokojny. Chodził po swoim gabinecie, myślał i coś układał. Kilka razy zatrzymywał się w oknie otwartem i binokle do oczu przyłożywszy, patrzył na dwór czerwony jakby tam spodziewał się kogo zobaczyć.

Chociaż życiem był już stary, a fizycznie nie całkiem zdrów, przecie od pewnego czasu czuł w sobie porywy młodzieńcze. Cudownej tej zmiany dokonała w nim piękna pani Eleonora. Gdyby na jego westchnienia i słodkie słowa odpowiedziała była zaraz przychylnie, to kto wie, czy do dziś nie byłby się nią już znudził. Ale ponieważ ciągle była jednakowa, zawsze ośmielająca a nieprzystępna, zalotna a obojętna, piękna a zimna, niby to szczera a niezgłębiona, więc biedny Leonard drażniony tem do żywego, zaczął co-

raz bardziej brać na kieł, jak ongi gdy miał mniej lat i mniej doświadczenia, za to więcej zdrowia i gorętszą wyobraźnię.

Od tak dawna starał się o jej względy, a dotąd znajdował się tam, zkąd wyszedł. Przez ciąg tylu tygodni ani o krok naprzód nie postąpił. To go tak zniecierpliwiło, że nareszcie postanowił wszystko zahazardować i zagrać na banque! Zresztą droga to nie była koniecznie najgorsza, nie raz bowiem za lat młodszych tak postępował i szczęśliwie do celu dochodził.

Po długim namyśle, a gruntownej rozwadze, postanowił do niej napisać list gorący i prosić ją o schadzkę. Jeżeli to uczyni, osiągnie co zamierzył; jeżeli odmówi, ale choć odpisze, będzie przynajmniej wiedział, czego się ma spodziewać; jeżeli nic zgoła nie odpowie, nie będzie się więcej łudził. Wtedy nawet jego ojciec może starać się o jej względy...

List postanowił wysłać przez człowieka zaufanego i całkiem go nie adresować, by nawet na przypadek, jeżliby wpadł w obce ręce nikt się nie dowiedział, dla kogo był przeznaczony. Właśnie gdy w myślach szukał człowieka, na któregoby się mógł spuścić, do gabinetu wszedł stary hrabia w kapeluszu, wyświeżony, woniejący, z szkiełkiem w oku, nucąc pod głosem wesołą piosenkę.

Dowiedziawszy się od syna z jakiemi nosi się myślami, pochwalił je w zupełności i ręce zacierając zakończył:

— He, he, he, myśl dobra, doskonała! Albo tak albo siak zawsze coś będzie, a zdaniem mojem, lepsza pewność, choćby najgorsza od ciągłej niepewności i udręczenia. Pisz więc list i posyłaj.

— Nie wiem tylko przez kogo posłać. Jacoquet nie umie słowa po polsku, na innych znowu nie mogę liczyć.

— W takim razie dam ci mojego Sylwestra. Chociaż i on po polsku nie umie, za to jaka głowa u niego! Powiadam ci człowiek przytomny, obrotny, niepospolity! Wprawdzie dając ci go Leonardzie i ułatwiając tym sposobem miłosne rendez-vous, działam przecim własnemu interesowi, ale czego ojciec kochający nie uczyni dla swego syna! Gdybyście to wy wisusy, umieli tak samo ojcom się wywdzięczać! Sylwester więc niech małą łódką popłynie wieczorem, a że dotrze do samej pani i list jej wręczy, za to ręczę. Gdybym miał dziś tyle tysięcy, ile już razy człowiek ten wywiązał się ku memu zadowoleniu z takich samych poleceń, to wtedy od razu spłaciłbym wszystkie moje długi i miałbym znowu czysty majorat. Dobra myśl Leonardzie, doskonała. *Prachtvoll! Superbe!*

Późnym wieczorem Sylwester siadł do małej łódki i kierując się ku zachodowi, płynął cicho, ostożnie, jak ryś gdy na jagnię poluje, młody hrabia bowiem przyrzekł mu sowitą nagrodę, jeżeli z polecenia, które mu w zaufaniu poruczył, zgrabnie się wywiąże. Jako dobry taktyk, nie wylądował pod samym dworem, lecz przybił do brzegu znacznie wyżej i łodkę w trzcinach zostawiwszy, zaczął brzegiem skradać się ku temu miejscu, gdzie jeszcze było widać kilka świateł przez szyby blado migocących.

Pan Bielski, który czasem, zwłaszcza jeżli wieczór był cichy a ciepły, lubił samotną przechadzkę nad jeziorem, wtedy bowiem najprzyjemniej myślał o tem, co przy pomocy św. Florjana na tym świecie jeszcze pragnął uczynić, otworzywszy furtę w murze ogrodowym, wyszedł na brzeg i właśnie chciał cygaro zapalić, gdy niespodziewanie ujrzał coś ciemniejszego niż otoczenie, które nieznacznie posuwało się wzdłuż muru. Nasz szlachcic, mimo sześćdziesięciu lat miał oko doskonałe, myśliwskie, a że nie należał także do bojaźliwych, więc postanowił przekonać się, coby to było. Zapałki, choć już je wyjął z kieszeni, nazad tam schował i udając jakby tajemniczego cieniu nie dostrzegł, szedł powoli, ostrożnie, nawet pogwizdywał. Oczy jednak miał ciągle w to miejsce zwrócone gdzie na pewne spodziewał się złodzieja. Cień to się posuwał, to przystawał, a trzymał się ciągle przy samym murze. Pan Bielski postąpił jeszcze kilka kroków, nagle zrobił pół obrotu w lewo i z okrzykiem: A tu kto?! chwycił kogoś za bary.

Człowiek tak znienacka napadnięty, chciał mu się wyrwać, szlachcic atoli tak silnie trzymał, że wkrótce musiał stracić nadzieję, by mu się to udało. Zaczął tedy prosić.

— Niech mnie pan puści — zaczął mówić po niemiecku.

— Puścić cię? A coś tu szwabie robił o tej godzinie?

— Chciałem się trocha przejść, zobaczyć piękną okolicę.

— Piękną okolicę chciałeś zobaczyć, teraz, kiedy na trzy kroki nic nie widać? A jechał cię sęk z takiem amatorstwem! a łżesz łotrzyku! Tyś prawdziwy złodziej. Chodź ze mną, paniczu, chodź, przy świetle lepiej cię oglądziemy.

To powiedziawszy, zaczął pojmanego gwałtem ciągnąć za sobą. Ten zebrał odwagę i z całej siły pchnął swego ciemięzcę. Zapewne sądził, że tym sposobem z jego rąk się uwolni. Boleśnie się jednak zawiódł. Szlachcic tak go za to w kark poczęstował, że pod uderzeniem niemiec aż się ugiął i jęknął. Wtedy pan Bielski krzyknął:

— Chodźcie tu ludzie, chodźcie! Mamy jakiegoś złodzieja, czy nawet rozbójnika!

— Głos jego był potężny, a że noc była cicha, więc doleciał tak dobrze do dworu, jak na podwórze.

— Niech mnie pan puści — prosił znowu pojmany — ja przyszedłem od hrabiego z Ujścia.

— Od hrabiego? z Ujścia? teraz? w nocy?... A z czem ty od niego przyszedłeś łotrzyku, żeś się skradał jak złodziej?

We dworze ktoś drzwi otworzył, poczem odezwał się głos gospodarza:

— Co się stało, wujaszku?

— Chodź tu, kochasiu, chodź, złowiłem ptaszka!

— Niech mnie pan puści, mam list od hrabiego - pojmany znowu przemówił.

— Jaki list? gdzie jest ten list?

Sylwester wyjął list z kieszeni, i panu Bielskiemu go podając, rzekł szybko:

— To list bardzo ważny, niech go pan tylko sam przeczyta.

Ton jego głosu był w tej chwili tak uroczysty, że szlachcic uczuwszy na dłoni zapieczętowaną kopertę, zdziwił się tem do najwyższego stopnia, i mimowolnie wypuścił z ręki pojmanego. Sylwester na to tylko czekał. W tej chwili pochylił głowę jak lis, gdy się przez linję strzelców przekrada i na palcach czmychnął w głąb ciemności.

— Łapaj! złodziej! łapaj! — krzyknął pan Bielski, i za nim się puścił. Brzuch atoli nie pozwolił mu pospieszyć. Ledwie zrobił kilkanaście kroków, musiał stanąć by się wysapać.

— Wujaszku. co to jest? — zapytał pan Miliński szybko się zbliżając.

— Był tu jakiś złodziej, czy rozbójnik niemiecki... Djabli wiedzą co za jeden... Powiedział, że go hrabia z listem przysłał i czmychnął... Jechałże cię sęk, a to się sianem wykręcił! Kochasiu wołać ludzi, niech pędzą, szukają, łapią!

— Szkoda czasu i zachodu, wujaszku. Trzebaby mieć kocie oczy, żeby teraz co zobaczyć.

— A to łotr! Ktoby był przypuścić że tak się wywinie! Ale dobrze że mam przynajmniej ten list, o którym mówił. Przekonajmy się, czy rzeczywiście od hrabiego, i czego ten jegomość sobie życzy. Chodźmy, kochasiu, chodźmy.

W salonie znajdowała się hrabina z panią Eleonorą. Obie były w wysokim stopniu zaciekawione, ze dworu bowiem dolatywały głosy pana Bielskiego, Henryka i ludzi dworskich, którzy przez ogród biegli do jeziora. We drzwiach od drugiego pokoju stała Antosia.

Szlachcic wszedł pierwszy, za nim siostrzeniec. Zbliżył się do lampy i list do światła podniósł, by adres przeczytać.

— Tfu! — splunął. — A to co, u licha? List bez adresu, a zapięczętowany. Jechał że cię sęk z taką modą, Jak długo żyję, jeszczem o podobnej nie słyszał. Ale skoro nie ma adresu, więc tem śmielej może go każdy otworzyć. Zobaczymy. — Szybko rozerwał kopertę, wszelako ledwie okiem rzucił, drugi raz splunął. — Tfu! z tym baranim językiem... Niech kto inny czyta, bo to ponoś po francusku.

Pan Miliński wziął list od wuja. Gdy wzrok jego przebiegł kilka pierwszych wierszy, zbladł i głowę podnosząc, wpatrzył się na żonę, która stała po drugiej stronie stołu.

— Zdaje się, że młody hrabia prosi kogoś o schadzkę miłosną... Nie wiecie panie, dla kogo ten list był przeznaczony?

Wyraz jego twarzy był straszny. Wyglądał, jak człowiek, który o dwa kroki przed sobą usłyszał rusztowanie.

W tejże chwili Antosia do niego przyskoczyła, i list mu wyrywając, zawołała:

— To do mnie, Henryku, do mnie!

— Do ciebie?

— Tak jest Henryku! Pozwól, bym i ja miała moje tajemnice.

To powiedziawszy, wybiegła z salonu i drzwi za sobą zamknęła.

Ci, co tu zostali, mieli miny niejednakowe. Pan Biel-

ski ze zdziwienia usta otworzył; Henryk wpatrując się w drzwi z któremi Antosia zniknęła, wyglądał, jak człowiek który myśląc o czemś, chciałby to koniecznie zgłębić. Hrabina była trocha zakłopotana, i niespokojnie na córkę spoglądała; ta zaś miała minę obojętną, tylko twarz jej była trocha bledsza niż zwykle,

— Ktoby się był spodziewał! — szlachcic nareszcie mruknął. — Gdybym ja był kobietą, a on jedynym mężczyzną na świecie, jak mi Bóg miły, nigdyby mi się nie podobał. A jechał że cię sęk z takim gustem!

Nie długo potem mieszkańcy dworu trzcinieckiego, rozeszli się w milczeniu. Gospodarz zamknął się w swoim pokoju i długo jeszcze po północy słychać tam było jego kroki. Pau Bielski już w łóżku leżał, a jeszcze z sobą rozmawiał, dziwiąc się Antosi, że może od takiego gagatka listy przyjmować.

Antosia dzieci do smu ułożywszy, udała się do swojej sypalni i piastunce potem się zdawało, że panienka płakała. Hrabina wbiegła jeszcze na chwilę do pani Eleonory, najpierw przyłożyła rękę do jej głowę, a przekonawszy się, że nie jest ani zbyt zimna ani nadto gorąca, szepnęła:

— Ten człowiek widocznie zwarjował!... Ale w każdym razie dałabym wiele za to, żebym jego list mogła przeczytać... Musi być niezmiernie ciekawy...

— Antosia go nie da — córka obojętnie odpowiedziała. — Ona niewątpliwie jest bardzo szczęśliwa, że choć w ten sposób mogła pochwalić się pierwszem swojem zwycięztwem — dodała z uśmiechem ironicznym. Hrabina gdy koło pokoju Antosi przechodziła, stanęła, nawet rękę na klamce już położyła, jakby chciała tam wstąpić. Wszakże po krótkiem wahaniu, namyśliła się inacze i udała się wprost na górę, pokręciła się jeszcze po pokoju i panią Eleonorę w czoło pocałowawszy odeszła.

XIX.

W Romanowie i całej okolicy wielkie zgorszenie: Ludzie stają na drogach, mówią, radzą się, grożą, mniej odważni zapytują się nawet w duchu, ażali nie nadchodzi dzień sądu ostatecznego, bo oto stała się rzecz przerażająca, o jakiej najstarsi gospodarze we wsi nie pamiętają.

Niedawno temu, na miejsce umarłego proboszcza rząd przysłał do Romanowa w asystencji landrata, jeszcze jednego urzędnika i dwóch żandarmów, księdza »majowego«, który mimo, iż przez arcybiskupa nie został na swoim urzędzie zatwierdzony, objął w posiadanie tak kościół jak probostwo. W ślad za nim przyszła wiadomość od dziekana, że parafianie nie powinni uznawać nowego księdza, ale we wszystkich potrzebach zgłaszać się do ks. Błażeja Czyżyka, proboszcza w Trzcińcu. Odtąd w Romanowie było wielkie zgorszenie. Do kościoła nikt nie chodził, nowonarodzone dzieci wozili chrzcić do Trzcińca, gdy ksiądz »majowy« szedł przez wieś, chłopcy z poza murów rzucali za nim błotem i kamieniami, nawet psy na niego szczuli, nikt nie uważał go za kapłana, gdyż w przekonaniu każdego był gorszym od samego lucypera.

Ks. Błażej bardzo na tem biadał. Zmartwienie jego było tem większe, że wiernym z sąsiedniej parafji nie mógł tak służyć, jakby tego pragnął, ponieważ stan jego zdrowia był coraz gorszy. Już od kilku tygodni więcej leżał niż chodził, a chociaż z nastaniem pory chłodniejszej nieco mu się polepszyło, czuł jednak, że siły stale mu ubywało. W tym samym czasie sąd skazał go zaocznie, za rozmaite wykroczenia przeciw ustawom majowym na 2000 marek kary lub 200 dni więzienia. Ks. Błażej nie był w sądzie i obrony nie wniósł, podczas rozprawy bowiem choroba jego była najgroźniejsza. Odczytawszy wyrok rzekł z uśmiechem:

— Woleliby może dostać pieniądze niż wsadzić mnie do kozy, ale zawiodą się, bo ich nie mam.

Gdy znakomitsi we wsi gospodarze, z sołtysem i z Wojciechem Żołędziakiem na czele, przyszli mu oznajmić, że 2000 marek chętnie złożą, byle ich ukochany pasterz był wolny, podziękował im za to łzami gorącemi, lecz nie przyjął ofiary.

— Nie chciejcie bracia — rzekł — bym był gorszym od innych. Skoro tylu naszych kapłanów już poszło do więzienia, więc pójdę i ja, bo w murach więziennych krzepią się nasze siły.

Nie gniewał się, nie narzekał, nie wniósł nawet apelacji, i jeno tyle sobie pozwolił, że do sądu napisał, iż dobrowolnie nie pójdzie do więzienia. Czekał więc, póki po niego sami nie przyjdą.

W domu Żołędziaka nie było także wesoło. Maryna trzeci już dzień siedziała w Berlinie, a chociaż co kilka dni o sobie donosiła, mąż dotąd nie wiedział, kiedy wróci. Pisała tylko, że Jaśkowi lepiej i że lada dzień wyjdzie ze szpitalu. Tymczasem coraz częściej przyjeżdżał Silber i coraz natarczywiej wypytywał się o Marynę i Jaśka. Rybak z początku nie zwrócił na to uwagi, ale gdy mu już tego było za wiele, przy końcu trzeciego tygodnia zapytał wprost żyda, jakie ma właściwie interesa z jego żoną i synem, że tak się o nich wypytuje.

— Interesów ja żadnych nie mam — spokojnie na to odpowiedział. — Ja się tylko chciałem od nich dowiedzieć, czy w terminie będą te weksle zapłacone, które im pan Żołędziak podpisywał.

— Jakie weksle, czy pana Silbera bies opętał?

— Za co mnie miał bies opętać? Czy to ja od was więcej żądam, niż mi się należy? Jest razem siedemset talarów, prócz tego od pięciuset talarów odłoży się jeszcze procent za miesiąc, a więcej Silber pewnie nie chce... Pojutrze termin, i tym razem nie będę czekał dłużej ani godziny.

Rybak patrzał, żegnał się, lecz nic nie rozumiał.

— Możem źle zrobił, żem pani Marynie dawał pieniądze bez was — Silber dalej mówił — ale niech pan Żołędziak sam powie, dlaczegom nie miał tego uczynić? Przecie ona wasza żona prawowita, a jeżli przyniosła podpis męża, to z pewnością nie był fałszywy. bo pani Maryna ma rozum, ona nie dziecko, więc wie, że za fałszowanie podpisu jest długi Strafhaus. Czy może nie tak, panie Żołędziak?

Rybak nie odpowiedział, bo coś go tak za gardło schwyciło, że nie mógł z siebie głosu wydobyć. Patrzył tylko na żyda, rozglądał się po izbie i ręką machinalnie po czole przesuwał. A więc Maryna, aby synowi dopomódz, pożyczała ciągle pieniądze i na wekslach podpisywała jego, Wojciecha Żołędziaka! Gdy kurcz co go dławił, pofolgował, zerwał się gniewnie i już chciał zawołać, że jego podpis jest fałszywy, gdy w pamięci stanął mu żywy obraz tego, co by nastąpiło, jeżliby o tem sąd się dowiedział. Maryna poszłaby do Strafhausu, z nią także Jasiek, bo najprawdopodobniej on matkę do wszystkiego namówił. Byłoby więc nieszczęście i co jeszcze gorsze od niego, hańba!

— O wekslach pan Silber mówi — rzekł po dłuższej przerwie — aha, prawda... przypominam coś sobie... pogadamy o tem, pogadamy.

Co my tu mamy dużo gadać? Niech pan Żołędziak zapłaci, albo...

— Albo co?

— Albo będę skarżył.

— Poczekaj panie Silber, poczekaj... wszak termin dopiero pojutrze, mamy zatem jeszcze kęs czasu. Tymczasem może i żona przyjedzie... Wtedy o wszystkiem pogadamy.

Jakby na to odpowiadając, w sieniach dały się słyszeć głosy, drzwi szybko się rozwarły i na progu ukazała się Maryna uśmiechnięta, za nią Jasiek blady, wystraszony.

Na ten widok, rybak podniósł się, oczy rozwarł szeroko i znowu usiadł. Żyd zmarszczył brew i na bok się usunął. To niespodziewane zjawisko nie wróżyło mu nic dobrego. Wojciech jeszcze nie wyszedł ze zdziwienia, gdy Maryna, do syna się obracając, krzyknęła:

— Do nóg ojcu, poganinie, do nóg!

Jasiek zamiast naprzód postąpić, zaczął jak rak w tył się cofać. Rozgniewana, zwinnym ruchem odwrót mu odcięła i pchnąwszy go tak silnie w plecy, że wpadł na sam środek izby, jeszcze głośniej krzyknęła:

— Do nóg ojcu, poganinie! Do nóg powiadam, pókim dobra!

Ale on jeszcze tego nie czynił, tylko się kręcił, przeciągał i wzrok niespokojnie puszczał po podłodze.

— O! Jezu! czy ja na to tyle wycierpiała, żebyście teraz patrzyli na siebie jak dwa wilki? Do nóg zaraz ojcu Jasiek a i ty stary rusz się, bo przecie widzisz że dziecko chore, ledwie się biedak nie minął. To nie on winien, nie, jeno niemcy psiepary, te dusze luterjańskie, co go do złego namawiały! A no Jasiek, dalej Wojciech! A może tobie ten żyd co złego nagadał, że siedzisz jakbyś języka w gębie zapomniał? — dodała do Silbera się obracając. — Ej! ty kasztanie coś Chrystusa Pana ukrzyżował i teraz pijesz krew chrześciańską, wynoś mi się ztąd, pókim dobra! Co ci Wojciech winien, to odda, a ty nas tu nie dręcz!

— Ja nic nie winien — mąż zaprotestował.

— Cicho stary, jeżeli nie chcesz, żebym ci oczy wydrapała!

Maryna, odkąd jej się udało ocalić Jańka fizycznie i moralnie, ten bowiem nim z Berlina wyjechał, przysiągł jej na wszystkie świętości, że teraz będzie się ojcu powodował, poczem wyspowiadał się na tę intencję, zapomniała o niedawnej trwodze i znowu była harda jak ongi, kiedy to mąż przed nią na jezioro uciekał. Bo i czymże w jej oczach były owe talary, które miała żydowi zwrócić w porównaniu z jej pierworodnym, który mógł zginąć! Zresztą wiedziała i o tem że mąż miał w skrzyni więcej bitych, niż ona była dłużna Silberowi.

Żyd znając ją doskonale, uznał za rzecz najbezpieczniejszą wynieść się ztąd natychmiast. Ledwie więc Maryna zaczęła znowu do męża przemawiać, on przesunął się zręcznie po za jej plecami i chyłkiem wymknął się do sieni.

Dopiero po jego odejściu, Wojciech podniósł się z ławy, a gdy Jasiek ponownie przez matkę popchnięty, padł mu nareszcie do nóg, pochylił się nad nim, jak ojciec nad synem marnotrawnym i drząc ze wzruszenia, tak przemówił:

— Jasiek, ja ci to przebaczam, boś był jeszcze głupi... jegomość dobrze mi raz powiedzieli, że nie tyle ty zły, co przez złą kompanję znarowiony, ale jeżeli chcesz, żebym w sercu nie miał żalu do ciebie, to przysięgnij mi tu, przed świętemi obrazami, przed tymi naszymi królami polskimi i katolickimi, że teraz będziesz innym człowiekiem i razem z ojcem będziesz pracował, aby swoich braci nie skrzywdzić. Ja Silbera zapłacę, ale serce boli mnie okrutnie, żeś tyle pieniędzy zmarnował.

— Cicho bądź stary i więcej o tem nie wspominaj!— żona mu przerwała, potem Jaśka w bok trąciwszy rzekła: — A przysięgaj że prędko!

— Przysięgam!

Stary ojciec objął syna za szyję i w głowę go pocałował.

— Tatuniu! Tatuniu! — dał się we drzwiach słyszeć głos Jędrusia. — Jegomość mnie przysłali, żebyście co żywo do niego przybyli. Ze wsi wszyscy gospodarze już tam idą. Powiadają, że będzie coć bardzo ważnego.

— Idę, idę odpowiedział i zapowiedziawszy żonie, że od jegomości wróci prosto do domu na wieczerzę, do której kazał kupić dwa garnce piwa, wyszedł z izby.

Ks. Błażej, mimo iż dnia tego był bardziej osłabiony, niż przez cały tydzień ubiegły, otrzymawszy rano jakiś ważny papier od dziekana, który do Trzcińca sam z nim przyjechał dźwignął się z łóżka, ubrał się przy pomocy kościelnego, i teraz siedział w fotelu, z wszystkich stron poduszkami popodpierany. Suchy był jak szkielet, żółty był jak wosk, tylko jedne oczy świeciły mu się bardziej niż dawniej.

Powoli zaczął się pokój ludźmi napełniać. Byli tam wszyscy starsi gospodarze z Trzcińca, przyszło także kilku z Romanowa z sołtysem na czele. Kazdy z nowoprzybyłych zbliżał się pokornie do księdza, całował go w rękę, obejmował za kolana, potem usunąwszy się stawał z innymi. Gdy się już wszyscy zgromadzili, proboszcz zaczął mówić.

Wspomniawszy najpierw na jaki to ucisk straszliwy w całej Wielkopolsce jest teraz narażony kościół katolicki, przeszedł następnie na księdza «majowego», który w Romanowie objął parafję wbrew woli arcybiskupa i Ojca św. i dawszy wyraz żywej swojej boleści, że na wyraźny rozkaz władzy duchownej, musi im odczytać ekskomunikę rzuconą na owego kapłana, wziął ze stołu papier, przy pomocy kościelnego powstał i na jego ramieniu wsparty zaczął czytać.

Włościanie świętą grozą przejęci, padli na kolana. Proboszcz czytał głosem cichym, drżącym, często urywał aby chwycić powietrza, którego mu w piersiach brakowało, twarz bardziej mu pożółkła, oczy głębiej się zapadły. Włościanie wzdychali, ten i ów w piersi się bijąc jęczał: O! Jezu! mniej mężni zaczęli płakać. Głos czytającego był coraz cichszy, ostatnie wyrazy dosłyszeli ledwie ci co się tuż przy nim znajdowali.

Gdy skończył wypił łyżeczkę lekarstwa, które mu kościelny podał, potem chwilę odpoczywał,nareszcie tak przemówił:

— Spełniliśmy bracia, co nam święty kościół katolicki uczynić rozkazał, a teraz prośmy Boga, aby tę zbłąkaną duszę oświecił i prawdą natchnął, bo większa jest w niebie radość z jednego grzesznika nawróconego, niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych! Módlmy się bracia, módlmy a może Pan Zastępów okaże nad nim swoje miłosierdzie i skruszy jego duszę w grzechu zatwardziałą.

Zsunął się na kolana i reszty sił dobywając wyraźniej niż wtedy, gdy czytał, zaczął wymawiać słowa modlitwy, które obecni głośno za nim powtarzali.

Gdy skończył i łzy otarł, przed domem coś zaturkotało.

— Żandarmi! — krzyknęło kilku przy oknie stojących.

W pokoju zrobiło się zamięszanie.

— Uciszcie się ludzie! — rzekł proboszcz poważnie, z ziemi się podnosząc. — Ledwie na nogi stanął, w progu ukazali się żandarmi z urzędnikiem sądowym, w tyle za ich plecami widać było barona Maurycego i landrata. Pierwszy z nich przybył tu z patryotyzmu, drugi z gorliwości. Landrat pragnął być dyplomatą, ale ilekroć zawodził się na dyplomacji robił się natychmiast tak bezwzględnym, surowym i brutalnym urzędnikiem, jak żaden inny z jego kolegów. Tym sposobem mścił się za zawód co go spotkał.

Proboszcz patrząc na tych dwóch ludzi, gorzko się uśmiechnął. Że też każdy prusak musi być żandarmem, w duchu pomyślał.

Teraz zbliżył się urzędnik sądowy i powołując się na wyrok, wezwał księdza, by szedł za nim. Włościanie słysząc to, zaczęli szemrać, poruszać się grozić.

— Uciszcie się moi bracia! — kapłan łagodnie do nich przemówił. — Przeciw temu, co Bóg miłosierny na nas spuszcza, nam się nie buntować! — Potem zwracając się do urzędnika dodał z uprzejmym uśmiechem. — Jestem na pańskie rozkazy.

Krokiem wolnym, na ramieniu kościelnego ciągle się wspierając na przód postąpił. W pokoju dało się słyszeć głośne szlochanie. Nie uszedł jednak pół pokoju, gdy bardziej zbladł, zachwiał się i mimo szybkiej pomocy najbliżej stojących, zsunął się na białą podłogę. Przez usta krew mu buchnęła.

Przerażenie było tak ogólne, że nietylko żandarmi, nawet baron i landrat przyskoczyli do księdza, by go ratować.

On oczy otworzył i na nich patrząc, szeptał:

— Przebaczcie mi panowie żem wam przyjemności nie sprawił... ale chciałem... chciałem..

Chociaż w Romanowie nie wiedziano, co o tej godzinie działo się w Trzcińcu na probostwie i lubo o ekskomunice nikt tu jeszcze nie słyszał, już to samo że proboszcz trzciniecki wezwał ztąd celniejszych włościan do siebie, było dostatecznym powodem, aby ci, co się we wsi zostali, byli bardzo zaniepokojeni. Gospodarze radzili tedy po domach, kumoszki zatrzymywały się na drodze i mając ręce pod fartuchami, pytały się nawzajem o nowiny.

W szkółce miejscowej, profesor uczył właśnie dzieci pisać, gdy wszedł nowy proboszcz. Słuszny był, dosyć otyły minę miał poważną Dzieci w pierwszej chwili nie powstały; dopiero nauczyciel musiał je do tego wezwać. Proboszcz zbliżał się do chłopców, zagadywał, głaskał ich po twarzy pytał o imię i nazwisko. Na odchodnem dał każdemu pięknie malowany obrazek. Jeszcze ze szkoły nie wyszedł, gdy jeden ze starszych spojrzał na obrazek, potem na księdza i słowa nie powiedziawszy, rzucił obrazek na ziemię. Za jego przykładem poszedł najbliższy, po nim drugi, dziesiąty, nie upłynęła minuta, a wszystkie obrazki już się w kurzu walały.

Nauczyciel krzyknął, lecz proboszcz, który to widział choć blady był jak ściana, dał mu znak ręką, żeby się nie gniewał. Błędnem okiem powiódł po mrowisku, i wyszedł ze szkoły.

Gdy nazajutrz usłyszał ks. o ekskomunice, już go to ani w połowie tak nie zabolało, jak ta niema pogarda dzieci!...

XX.

Po scenie z listem, w domu pana Milińskiego zapanowała duszna atmosfera. Wszyscy osowieli; nawet sama hrabina, mniej teraz mówiła, i nie krzyczała już tak głośno jak dawniej. Antosia unikała każdego wzroku, a najbardziej szwagra. On rozmawiał z nią jak dawniej, lecz o rzeczach potocznych, o liście ani razu nie wspomniał. Za to sposępniał bardzo. Wujaszkowi zaczęło także być nieprzyjemnie, to też coraz częściej powtarzał, wkrótce że wyjedzie, i z pewnością byłby to uczynił, gdyby nie nowe zdarzenie, którego nikt się nie spodziewał, a które mu plany pokrzyżowało.

Hrabina utrzymywała żywą korespodencję z pewnym adwokatem w Kijowie. Jak dotąd, o swoich stosunkach majątkowych jeszcze z nikim jasno nie mówiła, a zięć i córka

byli na tyle delikatni, że jej o nic nie pytali. Pozwalała się tylko domyślać, że wskutek dobrego serca zaufawszy ludziom zbytecznie, straciła bardzo wiele, wszelako ma nadzieję, że jeszcze dużo się ocali.

Pewnego dnia otrzymała z Kijowa list obszerny, z którym poszła do pokoju zięcia. Zrobiwszy się nad wszelki wyraz czułą i przyjemną, zaczęła go najpierw chwalić, każdy z jego przymiotów pod niebiosa wynosząc, a gdy osądziła, że grunt pod siejbę został już należycie obrobiony, przystąpiła do interesu. Adwokat pisał jej właśnie, że powinna albo sama przyjechać, bądź kogo zaufanego przysłać niezwłocznie na Ukrainę, bowiem nadeszła chwila, że z wierzycielami, którzy jej majątek sądowym sekwestrem obłożyli, dałaby się teraz korzystna ugoda przeprowadzić. Po tym wywodzie, tak zakończyła:

— Ponieważ, jako słaba kobieta, nie mogę znać się dobrze na interesach, a gdy bojąc się także, by znowu kto nie skorzystał z dobroci mojego serca, przeto przyszłam do ciebie, mój drogi syńciu, i chcę cię prosić, abyś ty łaskawie pojechał.

— Na Ukrainę?

— Wszelako to tak nie daleko, Henrysiu za tydzień wrócisz.

— Łatwo to powiedzieć. A jeźlibym dłużej potrzebował zostać?

— To i w takim jeszcze razie nic by tu się złego nie stało. Pan Bielski będzie doglądał gospodarstwa, a ja sama twoich dzieci na krok nie odstąpię.

Zięć uśmiechnął się nieznacznie.

Możeby mama mogła znaleść kogo innego — rzekł.

— Kogoż ja znajdę, kogo? Kto dziś chce pomódz biednej, nieszczęśliwej wdowie? Zresztą czy mogłabym pierwszemu lepszeniu zaufać? Mnie już ludzie tyle się nakrzywdzili, że się o nich boję nawet myśleć. Do ciebie jednego, mój drogi syńciu, mam zupełne zaufanie, bo mimo despotycznego charakteru, masz także serce! Chociaż ścieramy się czasem, nie mogę ci odmówić przymiotów, które posiadasz... Człowieka uczciwszego nie ma pod słońcem! O! tak drogi syńciu, zrób to dla mnie, zrób, i nie opuszczaj biednej wdowy!

To powiedziawszy, ujęła go za rękę i nim on postrzegł co chce uczynić, już go w nią pocałowała. Może sądziła że zięć będzie tem zachwycony; on atoli zerwał się pełen oburzenia.

— Co mama robi? — krzyknął. — Ja nie lubię tych komedyj!

Innym razem byłaby go za to nazwała brutalem, dziś atoli odegrała rolę łagodnej gołębicy, bo go potrzebowała. Nie obraziwszy się tedy, zaczęła go znowu prosić, błagać, zaklinać. On długo słuchał i milczał. Nareszcie rzekł:

— Później mamie odpowiem. Muszę się jeszcze namyśleć.

— Namyśl się drogi syńciu, namyśl, ale zrób to koniecznie dla nieszczęśliwej wdowy!

Wkrótce po tej rozmowie zszedłszy się z wujem, powiedział mu, czego teściowa od niego żądała.

— Ależ jedź, mój słodziutki kochasiu jedź, jak najprędzej! — szlachcic na to zawołał. — Jeźli tam co ocalisz, babsko powlecze się zaraz na Ukrainę i wtedy będziesz miał spokój. Inaczej ani nie myśl o tem Henrysiu! Strach! jaka to baba niepoczciwa i nieznośna! Jabym z taką teściową czternastu dni nie wytrzymał.. Jechał że ją za to sęk!

— I mnie się zdaje, że powinnienbym jechać, lecz jak tu dom zostawić? Wujaszek ciągle mówi, że odjeżdża.

— Jeźli ci tylko o to idzie, mój słodziutki kochasiu, to zostanę jeszcze jaki tydzień, lub nawet dwa... Czegobym ja dla ciebie, mój Henrysiu nie uczynił! — tu siostrzeńca serdecznie w oba policzki ucałował. — Na mojej głowie możesz zatem wszystko zostawić.

— Co do gospodarstwa wuju, to ono mnie nie trwoży, mój urzędnik jest pracowity i zna się dobrze na roli... Ja się więcej niepokoję memi paniami, żeby podczas mojej nieobecności jakich głupstw nie narobiły.

— Nie bój się już, ja będę doskonale uważał!

— Przedewszystkiem boję się, żeby tych Wągrowskich zanadto nie ośmielały. To ludzie zepsuci, cyniczni. Liche to induwidua, skoro nawet takiej biednej Antosi nie dają spokoju. Dziewczę wstydzi się dziś, jakby Bóg wie co złego popełniła.

— Pewnie, że to wielka hołota! Ale komu to się do panien umizgać, komu! Obadwa nie warci funta kłaków... Wszelako gdyby tak panna Antonina chciała się koniecznie za niego wydać, przecie nie mógłbyś jej przeszkadzać.

— Ani mi to w głowie wujaszku. Wszak oddawna jest pełnoletnią

— Jechał że ją sęk z takim gustem! Ale kto tam zgadnie co w trawie piszczy i co w kobiecie siedzi... Jeżeli ją zechce wziąć, niech idzie, będzie przynajmniej hrabiną. Chociaż kto wie, czy hultaj nie myśli się już wycofać. Jak to on od owego wieczoru, rzadko tu teraz bywa... Za to stary częściej się pojawia, lecz ten jeszcze mniej jest niebezpieczny... Nie bój się, mój słodziutki kochasiu i masz moje szlacheckie słowo, że we wszystkiem będę cię tak zastępywał, jakbyś sam był na miejscu.

Po tej rozmowie, pan Miliński w duchu przyznawszy rację wujowi, gdy ten mówił, że w inny sposób nie rozłączy się z teściową, postanowił pojechać na Ukrainę. Wpierw jednak radził się jeszcze Antosi, jako tej, która po jego odjeździe, stosunkowo najwięcej miała wziąść na swoją głowę. Ona była także zdania, że powinien jechać, a gdy coś wspomniał o dzieciach, rzekła:

— O dzieci możesz być Henryku całkiem spokojny. Prędzejbym zginęła, niżbym o nich zapomniała.

Duch złośliwości i przekory, tkwiący mniej więcej w charakterze każdego człowieka, podszeptywał mu teraz, żeby jej zapytał, czy nie zapomniałaby o nich nawet wtedy, gdyby tego od niej żądał autor pamiętnego listu... Już pierwsze słowo miał na ustach, lecz gdy spojrzał w jej oczy poczciwe, które z całą ufnością na niego skierowała, wolał nie dotykać więcej tego przedmiotu, niż przykrość jej sprawiać.

Nazajutrz wyjechał na Ukrainę.

Tego samego dnia wiedziano o tem w Ujściu leśnem. W godzinę po otrzymaniu tej przyjemnej wiadomości, stary hrabia kazał maszynę ogrzać i z Scholtzem na szpicy, puścił się do Trzcińca. Syn został w domu. Ten już od dłuższego czasu był zakatarzony, miał lekki ból gardła i w krzyżach go trocha łamało. Zresztą po niefortunnej wyprawie Sylwestra, postanowił dać wszystkiemu pokój. Bądź, co bądź on już był za stary na tego rodzaju awantury. Sylwester nie przyznał się co z listem zrobił. Wprawdzie powiedział, że pani Milińskiej nie mógł zobaczyć, bo go psy spłoszyły, lecz gdy hrabia o swój bilet zapytał, odrzekł, że ponieważ dworscy ludzie ścigali go wzdłuż brzegu, przeto on bojąc się, by go nie dopędzili i listu mu nie odebrali, uznał za konieczne, podczas ucieczki podrzeć go w drobne kawałki i te do wody wrzucić. Hrabia osądził, że Sylwester postąpił bardzo roztropnie, a że podczas najbliższej jego bytności w Trzcińcu, nikt tam nie wspomniał o tej sprawie, więc też nie miał powodu wątpić o prawdomowności kamerdynera swego ojca.

Stary hrabia przez dwa dni uganiał jak opętany. Już nie raz lub dwa, po trzy razy na dzień bywał teraz w Trzcińcu. Jako człowiek mający w sprawach miłosnych doskonałą metodę, przynajmniej sam o sobie tak utrzymywał, chciał panię Eleonorę wywabić koniecznie na jakąś wycieczkę, lecz ku wielkiemu zmartwieniu spotrzegł, że mu się nie uda. Nie tylko piękna pani Milińska, nawet hrabina nie chciała więcej słyszeć o przejażdżce na łodzi i podwieczorku w romatycznem ustroniu nad brzegiem jeziora Opór, którego się nie spodziewał, podrażnił go nadzwyczajnie, ale nie odstraszył. Przeciwnie postanowił niebo i ziemię poruszyć, żeby celu dopiąć. Ułożywszy tedy plan nowy, wpadł do syna uradowany i zawołał:

— Leonardzie! Jeżeli mnie kochasz nie jak syn ojca, bo to za mało, ale jak szczery przyjaciel, takim bowiem chciałem cię mieć zawsze, to zrobisz mi wielką łaskę.

— Czegoż sobie życzysz?

— Dasz temi dniami bal w Ujściu.

— Bal? dla kogo?

— Dla kogo? Dla siebie, dla mnie, dla niej! — tu ręką wskazał na dwór czerwony. — Na wycieczkę nie mogę ich namówić, ale na bal z pewnością przyjadą... Ten stary koczkodan pierwszy córkę do tego nakłoni. Jak raz tu będą zemszczę się za ciebie i za Sylwestra. He, he, he, tóż to będzie *prachtvoll*! *Superbe*!

— Myśl może i nie zła. Lecz na bal trzeba dużo pieniędzy, zwłaszcza jeźli go mamy dać prędko.

— Jak najprędzej, bo ten wilk gotów tymczasem wrócić z Ukrainy i wszystko mi popsuć Co zaś do pieniędzy,

to wcale nie potrzebujemy o nich myśleć. Wszak odkąd tu jestem, nigdy ich jeszcze nie brakowało. Scholtz umie znaleźć gdy potrzeba.

— Jeszcze jedna uwaga, mój staty i może najważniejsza. Bez dam balu nie będzie i choćbyś nie wiedzieć co robił, one do nas samych nie przyjadą!

— I o tem myślałem mój Leonardzie. Dziś jeszcze zatelegrafuję do hrabiny Laury a jutro na wieczór będziemy ją tu z pewnością mieli... Wszak pamiętasz o niej ów sławny kalambour: *Qui voudra l'aura.*

— Laura? Laura? Czy to może ta wdowa, którą baron S. utrzymuje?

— Ta sama! Majątku wprawdzie nie ma, reputacji jeszcze mniej, wdzięki dawno przekwitły, ale jak na artykuł salonowy, jest to egzemplarz arcydoskonały. Zobaczysz jak zaimponuje temu koczkodanowi z Trzcińca. Ręczę ci że ją nazwie najmniej ósmym cudem świata... I nietylko ona sama przyjedzie. Pójdę o zakład, że jak ją pięknie poproszę, a trzeba ci wiedzieć Leonardzie, że Laura ma dla mnie pewne obowiązki, to przywiezie z sobą jeszcze z tuzin innych bogiń z nad Sprei.

— Byle od siebie młodszych i piękniejszych — syn przerwał.

— Będą nawet prześliczne. Laura to nie prosta kobieta, mój kochany, to bohaterka w wyższym stylu, która poziomą zazdrością nigdy się dotąd nie splamiła. Prócz niej i jej przyjaciółek, zaproszę kilkunastu młodych i starych kawalerów, obadwa baronowie z Romanowa także przyjadą, a gdy Trzciniec dołączymy, bal będzie świetny. Cóż Leonardzie, przystajesz na mój projekt?

— Skoro tego chcesz koniecznie, więc zgoda! — zawołał hrabia z uniesieniem, za szyję go obejmując. — Choćbym był nawet chciał o tem wątpić, dziś musiałbym się poznać po czynach! Skoro ojcu robisz przyjemność więc natychmiast zabieram się do dzieła i przekonasz się, że cię pomszczę! He, he, he, toż to będzie *prachtvoll*! *Superbe*!

XXI.

Na drogach prowadzących z Ujścia leśnego do miasteczka i na kolej, widać ruch nadzwyczajny. Powozy, wózki i proste wozy ciągle się krzyżują. Zjeżdżają się wytworni panowie i piękne damy; zwożą tapicerów, za nimi paki i skrzynie z Wrocławia. Dopiero trzeci dzień upływa od chwili, jak stary hrabia postanowił bal wspaniały, a przygotowania tak już postąpiły, że za drugie trzy dni wszystko będzie gotowe. Bardziej się pospieszyć niktby nie mógł. To na co inny potrzebowałby może miesiąc czasu, hr. Artur Wągrowski, dokonywał w ciągu jednej doby. Odkąd wziął się do urzeczywistnienia swojej wielkiej myśli, nie jadł, nie pił, nie spał, tylko wszędzie był i za wszystkich gorliwie pracował. Bohaterowie dzisiejszych salonów, wygodni, apatyczni, zniewieściali, powinniby sobie brać wzór z tego lwa! Gdy on działał, depesza jedna po drugiej leciały do Berlina; kupcy we Wrocławiu na łeb na szyję pakowali wina. wędliny, łakocie, dekoratorowie na gwałt ubierali salę balową, goście już od rana zjeżdżali się ze stolicy, a Scholtz co dzień dwa razy jeździł po pieniądze do Romanowa, baron bowiem, jakby umyślnie nie dał od razu większej kwoty, a wydatki były tak wielkie, że zaliczki nie wystarczyły. Hrabia i to szczęśliwie przezwyciężył, a teraz zaś z sercem o gorset stalowy silnie uderzającem, wyglądał tego dnia upragnionego, w którym miał wszystko ukoronować.

Ale chociaż balem gorliwie się zajmował, nie zapomniał o tem, co go głównie do tego dzieła popchnęło. Mimo wielkiej pracy, co kilka godzin pędził do Trzcińca, aby osoby, dla których bal przygotowywał, koniecznie nakłonić do wzięcia w nim udziału. Gdy pani Milińskiej i jej matce pierwszy raz o tem wspomniał, wręcz mu odmówiły, tem się zasłaniając, że kiedy gospodarza nie ma w domu, więc żadną miarą nie mogłyby się same bawić. Nie zmieniły zdania i wtedy, gdy ich uroczyście upewnił, że do Ujścia zjedzie się najwytworniejszy świat berliński, na którego czele pojawią się hrabina Laura S. . . i księżna Luiza H. . . Niezrażony odmową, chwycił się innej taktyki. Przestał namawiać obie damy razem, za to tem gorliwiej wpływał na każdą z osobna. Eleonorze mówił, że jedynie w tym celu zaprosił wszystko, co wielka stolica mieści w swem łonie najdoskonalszego, żeby świat ten wytworny mógł ujrzeć i podziwiać prawdziwą gwiazdkę, która w tym zakątku jaśnieje. Osoba mająca te, co pani przymioty, ciała i duszy — mówił między innemi — nie powinna zamykać się egoistycznie, lecz wystąpić na szerszą widownię, aby światu zaimponować i trzymać od niego poklask zasłużony. Pani Eleonora słuchała tych pochlebstw, podanych w formie zręcznej, z widocznem zadowoleniem, a chociaż kilkakrotnie prosiła go, by jej zbytnią grzecznością nie żenował, mimo to nie odeszła, lecz z uśmiechem wysłuchała do końca, a gdy przestał i o odpowiedź poprosił, rzekła z westchnieniem

— Gdybym tylko od siebie zależała, możebym się zdecydowała, ale kobieta zamężna, to niewolnica.

Hrabia świętym gniewem uniesiony, zaczął piorunować na mężów-tyranów, na których zdaniem jego było tylko jedno lekarstwo. Kobieta mająca takiego męża, powinna zawsze robić mu na złość, czem niewątpliwie podwójny cel osiągnie. Oduczy go tyranji i sama panią w domu zostanie.

Piękna dama słuchając tych słów z namaszczeniem wypowiedzianych, westchnęła cicho ale nic nie odrzekła.

Zarzuciwszy w ten sposób wędkę na jednę, pospieszył zaraz do drugiej. Jakież to powodzenie szalone miałaby hrabina, gdyby w całej okazałości pojawiła się w Ujściu na balu. Mimo że tam będzie sama śmietanka arystokratyczna, spodziewany jest także jeden książę krwi z dwiema damami dworskiemi, wszyscy musieliby ustąpić przed tą piękną Junoną, która w postawie ma majestat królowej, w ruchach grację bogini, w głosie dźwięki słowika! O! śpiew jej wszystkichby oczarował, konwersacja musiałaby każdego zachwycić, wytworne maniery olśniłyby najpierwszych nawet lwów stolicy. O zjawisku tak niezwykłym pisałyby potem dzienniki, i tym sposobem imię hrabiny byłoby zpopularyzowane po całym globie

Hrabia mówił tak płynnie i przekonywająco, hrabina zaś miała tak dobre o sobie wyobrażenie, że słuchając go z okiem roziskrzonem, wszystko za dobrą wzięła monetę. Ale mimo to nie była jeszcze całkiem zwyciężona, ponieważ w myślach stanął jej nagle Henryk, ten zięć niedelikatny a człowiek brutalny, który po ziemi wiecznie pełzając, nie umiał nawet w wyobraźni wznieść się w dziedzinę prawdziwego piękna i podniosłego zachwytu. Hrabia widząc na jej twarzy wahanie, wytoczył działo największego kalibru, przypomniawszy sobie bowiem, że hrabina pokazywała mu raz wcale ładne brylanty, zawołał patetycznie:

— A jakiby to efekt wywołało, gdyby cię hrabino, nasze damy ujrzały w owych cudownych brylantach, które nie dawno temu raczyłaś mi pokazać. Ręczę żeby się pochorowały z zazdrości, bo nie wiem, czy równie piękny »Szmuk« ma sama cesarzowa.

— Istotnie, to bardzo ładne brylanty — odrzekła z westchnieniem. — Kupił mi je na imieniny mój nieboszczyk drugi mąż... Zacny to był niezmiernie i nadzwyczaj delikatny człowiek! Aż szkoda doprawdy, że leżą schowane a nikt ich nie widzi.

— Trzeba je więc pokazać, piękna pani, trzeba!

— Jabym może nie miała nic przeciw temu, ale Eleonora...

— Od ciebie, piękna hrabino wszystko zawisło! Dam głowę, że cokolwiek pani zechcesz, z pewnością przeprowadzisz.

Ostatniemi słowy, uderzył w najsłabszą stronę hrabiny. Lubiła panować, rozkazywać, i niezmiernie ją to bolało, gdy przed cudzą wolą musiała się ukorzyć. Myśl więc, że gdyby na swojem teraz postawiła, urosłaby niezmiernie w opinji hrabiego, który niewątpliwie musiał już zauważyć, jak podrzędną rolę odgrywała w domu swego zięcia, była ostrogą zachęcającą ją może jeszcze bardziej niż wszystko inne, do wzięcia razem z córką udziału w tym świetnym balu.

Hrabia bystrem okiem światowca, na wskróś ją przejrzawszy, niewiele już odtąd rozmawiał o tym przedmiocie z panią Eleonorą, za to tem natarczywsze szturmy do hrabiny przypuszczał. I tak jej pochlebiał, tak ją w ambicję wbijał, że u schyłku trzeciego dnia, przyszła do pokoju córki, i rzuciwszy się na fotel, zawołała:

— Alboż ja wiem, mój Boże! co uczynić... Możebyśmy tam doprawdy powinne pojechać... A ty co o tem sądzisz, Eleonoro?

— Niech mama decyduje. Jabym tak wielkiej odpowiedzialności nie chciała na siebie przyjmować.

Jeżli mamy prawdę wyznać, to ta sama odpowiedzialność była głównym powodem, dla którego nie tylko córka, ale i ona bała się dać hrabiemu przychylną odpowiedź. Przyznawszy się nawzajem do tego, zaczęły szukać dróg do

ominięcia tego szkopułu. Gdyby tak Henryk nie przyjechał prędzej niż za dwa, lub trzy tygodnie, co było rzeczą więcej niż możliwą, bo prawdopodobną, to w takim razie, one by tu wszystko tak przygotowały, ze on dowiedziawszy się lepiej, iż były na balu, możeby się trocha pochmurzył, lecz z pewnością nie gniewałby się długo, zwłaszczaa jakby zobaczył, że nie stało im się nic złego. Gorzejby było, jeźliby przed balem wrócił, bo wtedy musiałby w domu zostać. Odkąd w zaufaniu sobie powiedziały, że to drugie byłoby nierównie gorsze niż pierwsze, nie bawiły się więcej w chowanego, i tak jedna, jak druga otwarcie się przyznała, że chciałaby się pokazać niemieckiej arystokracji, aby ją olśnić.

Hrabia dostrzegłszy pierwszą rysę na lodach obojętności, któremi się dotąd otaczały, jął z natarczywością jeszcze większą prosić i zaklinać, by mu tej łaski nie odmawiały, i w końcu otwarcie im powiedział, że bal ten będzie jedynie dla nich dany, ponieważ tak on jak jego syn osądził że za gościnne przyjęcie jakie ich w Trzcińcu spotykało nie potrafiliby się inaczej wywdzięczyć.

Obie damy słysząc to, spojrzały na siebie.

— Skoro tak rzeczy stoją — hrabina pierwsza przemówiła — to chyba być musimy, bo inaczej sprawiłybyśmy przykrość naszym kochanym sąsiadom.

— Ta przykrość równałaby się śmierci! — hrabia zawołał!

— Czyście panowie gościom swoim już donieśli, że ten bal będzie dla nas dany? pani Eleonora zapytała.

Wszystkim piękna pani, wszystkim!

W takim razie Eluniu być musimy, bobyśmy inaczej panów skompromitowały. Jakież twoje zdanie Eluniu?

Mama wie że zawsze chętnie to czynię, co mama sobie życzy.

— O! ja wiem, moje dziecię, że chociaż jesteś już sama matką, dotąd nie przestałaś być córką kochającą i posłuszną. Bóg cię zato moje dziecię sowicie kiedyś wynagrodzi. A więc będziemy — dodała do hrabiego się zwracając — niewątpliwie będziemy!

— Hrabino, pozwól mi za to swoją cudowną rączkę ucałować,! — zawołał hr. Artur Wągrowski i podaną sobie rękę licznemi okrył pocałunkami.

Po jego odjeździe, córka rzekła do matki:

— W każdym razie musimy wuja nakłonić., żeby nam towarzyszył.

— Pewnie, myśl wcale dobra.. Ten wół podolski lepiej niż cokolwiek innego zasłoni nas przed Henrykiem.

— Nie wiem tylko mamo, czy zechce pojechać.

— Może go uprosimy, ja sama wezmę się do niego, a gdyby ten brutal nawet na prośby dam okazał się nieczułym, on do wszystkiego jest zdolny, w takim razie użyjemy jakiej sztuczki i z pewnością go pokonamy. Bądź spokojna Eluńciu, już ja to biorę na siebie.

Stary hrabia do domu przyjechawszy w tak świetnym był humorze, że to syna uderzylo, zaraz tedy zapytał:

— I cóż, interes zrobiony?

— Zrobiony! zrobiony! Ciężką miałem pracę i wielkie zadanie, alem nakoniec zwyciężył. I niech kto teraz mówi, że metoda nic nie znaczy. Metoda, mój Leonardzie, to rzecz najważniejsza. Zobaczy, że wszystko pójdzie jak z płatka.

— Zobaczymy — syn odrowiedział i oczy przymknąwszy zaczął kołysać się na fotelu.

XXII.

Dziś wieczór ma się odbyć wielki bal w Ujściu Leśnem. Wiadomości ktore ztamtąd nadchodzą, są nadzwyczaj zachęcające. Hrabiowie poczynili takie przygotowania, iż nie jeden mógłby przypuścić, że na balu będzie sam monarcha. Widać z tego jak cenili panią Eleonorę i jej matkę, skoro aby je godnie ugościć narażali się na takie trudy i wydatki. Gości było już tam bez liku, najliczniejszego kontyngensu miały jednak dostarczyć dopiero dzisiejsze pociągi, muzyka wojskowa przyjechała w południe aż z Wrocławia.

Pan Miliński jeszcze nie wrócił i nikt nie wie, kiedy to nastąpi, bo dotąd nie pisał. Ale to bynajmniej nie przeszkadzało jego żonie i teściowej myśleć o balu. Od trzech dni krawcy z miasteczka umyślnie do Trzcińca sprowadzeni, za co sabie suto kazali zapłacić, puścili w ruch aż trzy maszyny i krają, szyją, gładzą, upinają. Suknie będą prześliczne. Hrabiny ciężka, poważna, królewska; pani Eleonory więcej powiewna, lekka, jak strój bogini, płynącej po przestworzu przed rumakami Apollina.

Pan Bielski patrząc na te przygotowania, chodzi chmurny, mruczy, wąs ze złości targa. Panie po kilkakroć zaczynały przy nim mówić o balu i dały mu jasno do zrozumienia, że powinien im towarzyszyć. Szlachcic za każdym razem splunął i mruknąwszy pod nosem:

— Jechałże cię sęk! — wychodził. Więcej z niego nie wydbyły.

On głęboko wierzył, ze jezeli nie będzie się z niemi wybierał, one swój projekt także zarzucą. Tymczasem zawiódł się, jak już tyle razy w życiu. Ale panu Bielskiemu nie można się dziwić. Wszak nie był nigdy żonatym, więc i kobietę znał tylko z przelotnych romansików i z książek a nie z życia...

Około południa, hrabina ujrzawszy go w ogrodzie, poszła tam umyślnie i wręcz go zapytała:

— Pojedzie pan z nami?

O krok się cofnął i przeżegnawszy się, odrzekł w najwyższej irytacji.

— A za kogo to mnie masz, moja mościa dobrodziejko? Przeciem jeszcze nie zwarjował i głowy mi dotąd nie ogolono.

— Więc nie możemy na pana liczyć?

— Pod żadnym warunkiem.

— Jeżli tak, to same pojedziemy.

— Przekonacie się, czy pojedziecie. Nie dam koni i basta!

— A więc popłyniemy łodzią.

— Łodzie każę pochować.

— Jesteśmy przygotowane i na tę niegrzeczność! — odrzekła niecierpliwie, szarpiąc chustkę którą w ręce trzymała. Wszakże w tej samej chwili, jakby ją co odmieniło, dodała głosem łagodnym: — Zdaje mi się, panie Bielski, że pan tu Henryka zastępujesz?

— I mnie się tak zdaje. Przecie słyszałyście panie, jak mnie o to prosił.

Właśnie dla tego, żeśmy szłyszały, jesteśmy teraz pewne, że pan z nami pojedziesz, Henryk bowiem z pewnościąby nam tego nie odmówił.

Szlachcic usta otworzył i chwilę stał nieruchomy, nie wiedząc co odpowiedź. Nareszcie przyłożył palec do czoła i kręcąc nim zaczął poświstywać.

Fiu, fiu, fiu, nie odmówiłby i pojechałby... Jak widzę, moja mościa dobrodziejko radabyś mnie wziąść na fis... Jechałże cię sęk z taką polityką! Ale Prądzyński nie głupi, szlachcic nie da się w pole wyprowadzić. Jakby był, niechby jechał, ale ponieważ go nie ma, więc nikt nie pojedzie.

— Nikt? przekonasz się pan kto zwycięży... Pan ze swoją siłą brutalną, czy my słabe kobiety.

To powiedziawszy pobiegła do dworu.

Pan Bielski widząc, że będzie musiał walną stoczyć bitwę, chciał już zarządzić, co za potrzebne uważał, gdy w tem zjawiła się Antosia. Zaniepokojona była bardzo, przytem nadzwyczajnie blada. Znając matkę dobrze, przyszła ostrzedz pana Bielskiego, by nie stawał z nią do walki nierównej, bo będzie musiał przegrać. Gdy szlachcic na to odpowiedział, że nie da sobie w kaszę napluć, tak przemówiła:

— Mama słucha tylko jednego Henryka, bo się go trocha boi, ale przed wolą innego człowieka, choćby nawet jego wuja rodzonego, pewnie nie ustąpi, zwłaszcza że i Eleonorę ma tym razem po swojej stronie Skoro sobie powiedziała że pojedzie, to choćby niebo się waliło, nie zostanie w domu. Suknie już gotowe, bal będzie wspaniały, nawet ognie sztuczne mają być na wodzie spalone... Na drugą taką zabawę musiałaby długo czekać.

— Nia dam ani koni, ani łodzi! — szlachcic zawołał.

— To pan chyba mojej mamy jeszcze nie zna, jeźli się panu zdaje, że to ją powstrzyma. Poszle do wsi po konie i pojedzie prostym wozem.

— Potrafię i temu przeszkodzić.

— To da znać do Ujścia, aby ztamtąd ekwipaż po nią przysłano i będzie skandal... Gdy raz jej się czego na prawdę zachce, wtedy nie ma z nią ratunku... Pamiętam dobrze, że zawsze tak było za nieboszczyka ojca...

Pan Bielski słysząc to, zaczął nareszcie rozumieć swoje położenie.

— Jeżeli tak, to głupia historja! — mruknął. — A tom wlazł w kalamancję.. Jechałże cię sęk!

— Niestety, tu nie ma innego sposobu wyjścia, tylko pan musi z niemi pojechać. Henryk może się trocha pogniewa, lecz zawsze będzie wolał, że wuj z niemi pojechał.

niż gdyby same tam się wybrały... Niech kochany wujaszek nie namyśla się dłużej, bo lepiej z siebie zrobić ofiarę, niż do skandalu dopuścić. A skandal byłby niewątpliwy, bo mama pewnieby nie ustąpiła... Dziś zaangażowała już całą swoją ambicję.

Szlachcic policzki wydął i aby sobie ulżyć przez usta aż po raz powietrze wypuszczał. Nareszcie rzekł z rezygnacją:

— Pewnie, że z dwojga złego, zawsze to lepsze, które mniejsze... A tom wlazł w pasztet!...

— Więc pojedzie pan?

— Cóż mam robić, muszę.

— Dziękuję panu, dziękuję serdecznie! — zawołała, rękę mu czule ściskając.

Po południu przyszedł na chwilę baron Fryderyk. W ostatnich tygodniach dość często on tu zachodził, rozmawiał z paniami, bawił się z dziećmi, które za nim przepadały, nawet gerylasza się nauczył. Dziś zabawił jednak króciej niż zwykle, bo szedł księdza odwidzieć. Wypytywał tylko ciekawie, czy panie będą na balu, czy pan Bielski z niemi pojedzie i o której godzinie tam się wybierają. Gdy usłyszał, że pan Bielski także będzie, rzekł rękę mu podając:

— A więc do widzenia! Prawdopodobnie i ja tam przyjadę.

Nad samym wieczorem, gdy już kareta stała przed dworem, a pani Eleonora kończyła toaletę, hrabina, która dziś prędzej była gotowa niż córka, przechodząc obok pokoju dzieci, zobaczyła we drzwiach Antosię łzami zalaną.

— A tobie co? — zapytała.

— Coś mi się dzieci skarżą, że je główki bolą.

— Które?

— Jańcia i Stasio. Może mama pójdzie zobaczyć.

— Ciekawam po co... Widzą, że się matka wybiera, więc nieznośne bachory chciałyby, żeby je z sobą zabrała i ztąd grymasy. Krzyknij żeby były cicho i to poskutkuje.

— One mamo nigdy nie grymaszą.

— Nigdy, nigdy, tylko właśnie dziś najwięcej — odparła niecierpliwie. — Uważałam to od południa... Spodziewam się jednak, iż okażesz tyle rozumu i serca, że Elunia nie dowie się o niczem. Przecie nam nie zechcesz psuć zabawy.

— Może mama być spokojna.

Hrabina pobiegła do córki, Antosia wróciła do pokoju dzieci.

Niedługo potem kareta toczyła się do Ujścia leśnego.

Bal w rzeczy samej był świetny. Sienie, wschody, salony, tak były przystrojone, że równego przepychu nie widziano nigdy ani w zamku królewskim w Berlinie, ani w Poczdamie. Wszędzie świeciły zwierciadła, płonęły kandelabry, nęciły oko wspaniałe gobeliny, kobierce, obrazy, festony. Kwiaty egzotyczne w wazonach, które sztucznie murawą pookrywano, wyglądały jakby z wprost ziemi wyrastały. Muzyka grała na galerji w sali balowej, przepełnionej strojnemi damami i posuwiście kłaniającymi się kawalerami.

Gdy pani Eleonora weszła tu z matką, pierwszą prowadził sam gospodarz domu, drugą jego ojciec, szmer podziwu przebiegł jak nitka elektryczna od początku do końca sali. Z wszystkich stron zaczęli zbliżać się i przedstawiać mężczyzni; każda dama bądź oczy zmrużyła, bądź do nich złotą lornetkę podniosła, by nowym postaciom lepiej się przypatrzeć. Młody hrabia szedł poważnie, sztywnie, obojętnie, jak anglik. Starszy miał głowę hardo podniesioną i okiem w szkiełko uzbrojonem wodził do koła, jakby chciał mówić: Patrzcie i podziwiajcie, to moje dzieło!

Zaczęły się tańce i piękna pani Eleonora utonęła w powodzi gaz, jedwabiów i tarlatanów. Hrabina, która od śmierci drugiego męża, na znak wiecznej po nim żałoby, unikała tańców wirowych, rozmawiając teraz z jakimś rotmistrzem od huzarów, który mówił nadspodziewanie dobrze po francuzku, przypatrywała się z najżywszą ciekawością różnobarwnemu tłumowi, ilekroć zaś zbliżyła się do niej córka ze swym danserem, zawsze wtedy piersi macierzyńskiej wyrywał jej się okrzyk najwyższego zachwytu:

— Prawda panie rotmistrzu, że ona śliczna! cudowna! czarująca!

— O! tak pani hrabino — zapytany odpowiadał, wpatrując się także w tłum tańcujących.

Stary hrabia syna odszukawszy, na bok go odprowadził:

— Pamiętaj mój kochany, aby ten gruby szlachcic jak najprędzej dostał jeść i pić — do ucha mu szepnął. — Przy talerzu i butelce z pewnością o nich zapomni...

— Myślałem o tem... Prosiłem już nawet kilku lepszych znajomych, żeby go do bufetu odprowadzili.

— Tak, tak, tam miejsce dla niego — ojciec potwierdził, ręce zacierając. Potem zapytał: — Ognie sztuczne wnet będą?

— Zaraz, bo wkrótce księżyc wschodzi.

— *Prachtvoll*! *Superbe*! Podaj więc ramię matce, a mnie córkę zostaw.

Na znak dany przez gospodarza, z sali zaczęli wszyscy wychodzić, spiesząc przed pałac od strony jeziora, aby zobaczyć ognie sztuczne, które na łodziach miały być spalone.

Stary hrabia powadząc piękną sąsiadkę znajdował się między pierwszymi, a gdy przed pałac wyszedł, nie stanął, jak inni przed żelazną balustradą, lecz zwrócił się w prawo, gdzie już się zatrzynał.

— Po co my tędy idziemy? — zapytała go pani Eleonora.

— Aby lepiej wszystko zobaczyć, piękna pani. Tam przez okna tak światło uderza, że połowa efektu przepadnie. Przeciwnie ztąd będziemy mieli widok prawdziwie czarujący.

Znajdowali się już o kilkadziesiąt kroków od reszty towarzystwa, otoczeni ciemnościami, których żadne oko przebićby nie mogło. Ona zajęta tem, co zobaczy, mając prócz tego głowę przepełnioną komplementami, które dotąd w uszach jej szumiały, nie zdawała sobie sprawy z tego, co teraz czyni; on zaś o tej tylko myśląc, którą czuł przy sobie, nie zwrócił znów uwagi na ciche kroki, które w ślad za nimi po piasku się posuwały. Chciał dalej ją prowadzić, ona wszakże zatrzymując się rzekła:

— Może już dosyć będzie.

— Jeszcze tylko kilka kroków.

— Przepraszam cię, hrabio... Ja dalej nie pójdę.

— Ha, ha ha, a to uporek... Lecz co robić, pięknym damom trzeba wszystko przebaczyć! Słowo honoru daję, pani jesteś tak cudowną, że nawet wróg kobiet, nie dopiero taki, jak ja wielbiciel, musiałby ci być we wszystkiem posłusznym.

Mówiąc to, w pół ją objął.

— Co pan robisz? — niespokojnie zapytała, rękoma go odsuwając.

— Skoro jestem tak posłusznym, więc w nagrodę powinienbym dostać całusa... jednego całusika.

— Hrabio! zapominasz się!

— Tylko, bez gniewu, piękna pani, bo my się na tem znamy — odrzekł, nad jej głową się pochylając, i w tejże chwili wśród łoskotu, rakiety co nad jeziorem pękała, wycisnął pocałunek na jej twarzy.

— Ach! — jęknęła.

— *Weg, alter Schuft*! Precz stary łotrze! — zawołał ktoś za nim, i nim hrabia miał czas obejrzeć się by natrętnikowi w oczy zaglądnąć, już na swym karku uczuł dłoń żylastą, i w tym samym momencie tak szybkie półkole swoją osobą zakręcił, że aż w nim coś zatrzeszczało. — Służę pani — rzekł baron Fryderyk, gdyż on to był, przestraszonej kobiecie ramię podając — a za zniewagę, jaką ci wyrządził, rozmówimy się z nim jeszcze jutro.

— Dziękuję ci, panie baronie, stokrotnie dziękuję! — biedna kobieta jęknęła, kurczowo jego ramienia się chwytając.

Niedługo potem całe towarzystwo zebrało się znowu w sali balowej. Pan Bielski po smacznej przekąsce i całej butelce szampana, miał minę wesołą i bardzo się ucieszył, gdy panią Eleonorę ujrzał z baronem Fryderykiem. Bądź co bądź stokroć wolał ją widzieć wspartą na ramieniu archeologa, niż hrabiego, dla którego z dawien dawna nie miał sympatji. Pan Bielski nie dostrzegł, że młoda kobieta była blada, lecz hrabina zaraz to zauważyła. Zbliżywszy się do córki, zapytała ją cicho o przyczynę tej zmiany.

— Później mamie powiem... nie teraz...

Ciekawość hrabiny była niezmierna; mimo to nie nalegała, ton bowiem głosu córki był nadzwyczaj stanowczy.

Już niedaleko było do północy, i piękna pani, Eleonora, przyjmując liczne hołdy od danserów, którzy ją tłumem otaczali, znów wesoło wyglądała, gdy przy drzwiach wchodowych niespodziewanie dały się słyszeć głosy podniesione. Muzyka na galerji ucichła, pary w miejscu stanęły a wszystkie oczy, ku drzwiom się skierowały.

Tam, roztrącając służbę usiłującą go zatrzymać, biegł mężczyzna blady, cały mokry, straszny i oczyma obłąkanego szukał kogoś w tym tłumie, uśmiechniętym, rozbawionym, myślącym li o tańcu i uciesze. Zobaczył, i rzucił się prosto ku pani Eleonorze.

Ona cofnęła się przestrachem zdjęta, bo poznała Henryka...

(Dokończenie nastąpi).

Ojcze nasz!

Ojcze nasz, któryś jest w Niebie,
Co nad Polską świeci krwawą
Czerwonem słońcem niedoli,
Bladym księżycem żałoby
I gwiazdami —
Jakby łez naszych perłami...

Modły zanosim do Ciebie
Za naszą świętą sprawą,
Do Ciebie, coś nas w niewoli
Rzucił na pradziadów groby,
Uczynił męczennikami...

Święć się imię Twoje
Dla nas na puklerz i na zbroję,

Przyjdź królestwo Twoje,
Ludy niech spoczną w niem, jako pisklęta...

Bądź wola Twoja święta,
Jak w Niebie, tak i na ziemi!
Choć krew się leje strugami
Za wyrokami Twemi

Chleba naszego powszedniego
W tym polskim kraju z łona jego.
W którem śpią ojców naszych prochy
I tych, co mieczem Twoim władli
I w krwawym boju się pokładli,
I tych, co ubił wróg u sochy,
Kiedy spokojnie ziemię orzą!
Daj nam dzisiaj! — — nie wtedy,
Gdy stracim siły z onej biedy,
Która u świątyń Twoich proga
Oblanych krwawą losów zorzą
Bezbronnych daje w ręce wroga.

I odpuść nam nasze winy,
Jako i my odpuszczamy
Naszym winowajcom:
Otwartym wrogom męczeńskiej krainy
I zdrajcom —

I nie wodź nas na pokuszenie
W domu wrogów naszych bramy:
Na srom i pohańbienie,
Prócz śmierci, nic tam nie mamy.

A gdy piorunów Twych przeszedłszy szkołę,
Na pomarłych ludów zrębie
Zdawać będziemy czyścowy egzamen, —
W godzinie gniewu Twego
Nie chciej zatracić nas jako jemiołę
Na spróchniałym dziejów dębie,
Ale nas zbaw ode złego!
Amen.

Lubin Ilasiewicz.

HENRYK SZCZERBA

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

WALERJĘ SOLECKĄ

odznaczona zaszczytną wzmianką na konkursie „Kurjera Warszawskiego.“

(Ciąg dalszy.)

XII.

— Pamiętaj! tylko prawy człowiek, tylko dobry człowiek może być szczęśliwym! — Malec kiwał główką, niby rozumiał znaczenie tych słów i potwierdzał je z powagą a potem wybuchnął nagle wesołym, długim, perlistym śmiechem i zarzucił obie ręce na szyję matki.

— Miałeś siostrzyczkę Olku, czy wiesz! Ale mama twoja była wtedy niedobra, brzydka, nie dość ją kochała, więc ona poszła sobie do nieba! Mój Boże! mój Boże — mówiła dalej — ileż ludzi nie popełniają szaleństw, grzechu, brzydoty, podłości w tej palącej żądzy rozkoszy życia, w tej gonitwie za marą, którą sobie nazywają szczęściem?!... A gdy już trzymasz ją w ręku, pokazuje się, że to garść próchna świecącego fosforem zepsucia! To tak było z miłością moją — i raz i drugi mówiła, do siebie— pamiętaj Olku, jak dorośniesz, masz być prawym i czystym, masz kochać ludzi jak kochał Chrystus, nie pragnąc niczego dla siebie, wszystkiego dla innych, a wtedy tylko będziesz szczęśliwym! To tylko jest szczęściem, tu na ziemi! Olek przejęty poważnym głosem i twarzą matki, otwierał coraz to szerzej czarne swe oczy i słuchał, słuchał, lecz nie kiwał już główką na znak potwierdzenia. Czy przeraził się ostrym wyrazem jej oczu, czy zasmucił się tem, że zapominała o nim, nie bawiła się z nim, lecz rozmawiała sama z sobą, dość że nagle łzy grube jak groch wytrysły z jego oczów i rozpłakał się głośno.

Ema aby go uspokoić, musiała się z nim bawić w konia, usiadła z nim na dywanie pośród blaszanych, świecących trąbek żołnierzy w kaskach, myszek białych i królików. Wreszcie chłopiec uspokoił się i pozwolił mamie położyć się na sofce z książką w ręku.

W tej chwili do pokoju wszedł Szczerba; uśmiechnięty był dziś, silne rumieńce miał na twarzy i oczy podkrążone z bezsenności, przyniósł synowi pudełko cukierków i wpośród rozsypanych zabawek usiadł z Olkiem na ziemi, ustawiał mu bataljon żołnierzy a potem drewnianą pałeczką uderzał w mały bębenek ku wielkiej radości malca. Obydwaj śmiali się, bawili w najlepsze i jedli cukierki.

Ema zdziwiła się tem, bo zdarzyło się coś podobnego po raz pierwszy; zwykle Henryk nie zważał na chłopca i tylko od czasu do czasu dawał dowody swej o nim pamięci, przynosząc mu jakie kosztowne cacko. Olek wdrapał się teraz na ramiona ojca i uderzając go z lekka po włosach, nazywał „mamą“, nieznając jeszcze innego słowa na wyrażenie swej czułości. Z kolei Szczerba usiadł przy Emie podając jej cukierki a potem ukląkł, głowę położył na jej kolana i z wyrazem rzewnej czułości przesuwał skronie po miękkim fularze różowego szlafroczka żony i całował jej ręce. Emie silniej zabiło serce radością i ulegając wzruszeniu przycisnęła do piersi tę piękną głowę, tak długo w obec niej nieugiętą i dumną. Czyżby nareszcie zdobyła miłość tego człowieka? Trzymając czoło Hen-

ryka w obu swych dłoniach, wpatrywała się w te oczy, co ją tyle razy zraniły chłodnem szyderskiem spojrzeniem — a w których teraz wśród rozszerzonych źrenic migotały jakieś błyski niby żółtawe płomyki i jakby nie mogąc znieść jej spojrzenia, Henryk rzucił się w tył z przestrachem i zmienionym głosem wyjąknął:

— Nie, nie Michale! jeszcze nie teraz — zaczekaj! zaczekaj!

— Co ci to? co to? — krzyknęła z przestrachem żona, rzucając się ku niemu Ale uspokoił się już i uśmiechnął do niej jak przedtem.

— Nic to, nic! — odpowiedział — myślałem właśnie o tej sprawie... ale prawda, ty o tem nic nie wiesz! Widujemy się teraz tak rzadko i nie wiesz, że nabrałem przyzwyczajenia... głupie to przyzwyczajenie. mówić głośno do samego siebie.. nieprawdaż?... ale ułatwia mi to pracę. Liczkę, biednego ciągle mam na myśli, komponuję, w sprawie, którą mi polecił, mowę; wypowiem ją w parlamencie — myślę o nim często i przypominam sobie ostatnią naszą rozmowę.

— Głowa mnie boli mocno — rzekł po chwili — czy tu nikt nie przychodził nie pytał się o mnie? — Przerzucał kartki czytanej przez żonę książki; znał ją i wymieniał ustępy, które mu się podobały — przeczytał ich kilka pięknym swym, dźwięcznym głosem, jak to bywało dawniej, bardzo już dawno, kiedy się starał o rękę Emy, kiedy się kochali

Ema nie przywiązywała już wagi do swego chwilowego przestrachu, cała oddana szczęściu tej wracającej miłości męża. Ale Henryka znowu ogarniał niepokój.

— Głowa mnie boli coraz mocniej — rzekł — czy nie chciałabyś się przejść? Dzień jest prześliczny! Proszę cię, zrób to dla mnie... sprawisz mi tem wielką przyjemność! — Ema zadzwoniła by zaprzęgano:

— Nie, nie! pójdziemy pieszo — zawołał — proszę cię! Tak będzie najlepiej!

Za chwilę wrócił do swego pokoju gotów do wyjścia; Ema zawiązywała wstążki od kapelusza. Wybiegli we dwoje w ulice miasta, ciesząc się powietrzem i słońcem. Henryk był ożywiony, wesół prawie, Ema odzyskiwała swobodę i lekkość młodej dziewczyny. Oprowadzał ją po wszystkich ulicach, pokazywał stare gmachy, kościoły — szedł coraz dalej i szybciej, że zaledwie nadążyć mogła, lecz bawiło ją to ogromnie i śmiała się wesoło. Tak zaszli na Naschmarkt, tu obok jarzyn wygrzewały się na słońcu bukiety aksamitnych pierwiosnków, żółte, liliowe, fjoletowe, czerwonawe i ciemne jak kolor wina burgundzkiego, i srebrno białe masy narcyzów, piętrzyły się dokoła... całe ogromne kosze okrągłe, pękate, jak olbrzymie kule śniegu obok delikatnych dzwonków konwalii i gałęzi tureckiego bzu; dalej znowu róże cieplarniane we wszzystkich odcieniach ułożone w zielonym puszystym mchu, i kobierczyki fiołków skropione wodą, błyszczącą w słońcu jak djamenty. Całe to bogactwo kwiatów roznosiło dokoła wonie, całą skalę balsamicznych zapachów, od delikatnego oddechu konwalji, do odurzającego zmysły narkotyku bzów i jaśminu. Twarze przekupek i przechodniów nachylających się nad kwiatami brały refleksa od barwy olbrzymich bukietów a suknie unosiły z sobą ich zapach. Przebiegali oboje rynek ręka w rękę, Szczerba kupił żonie takie mnóstwo kwiatów że nie mogąc ich zabrać, kazała je sobie odesłać a obciążona sporą wiązką biegła dalej, zwieszona na ramieniu męża, aż wreszcie znużona, trzygodzinną przechadzką, przyznała się, że iść dalej nie może i oświadczyła ze śmiechem, że powinien ją teraz nieść do domu, za karę, że ją tak zmęczył.

Lecz radość jej niedługo trwała. — Na drugi, trzeci dzień stan Henryka zaczął w niej budzić obawę; ciągle ten, niepokój powracający co parę godzin, potem co godzinę, potem jeszcze częściej, te spojrzenia ukośne rzucane na drzwi wreszcie też same wycieczki w najodleglejsze części miasta, w których musiała mu towarzyszyć i używać najrozmaitszych wybiegów, aby go skłonić do powrotu po kilkogodzinnej wędrówce. Zwierzyła się ojcu zawezwano lekarza, ale nie można było odkryć zadnej zdecydowanej choroby. Szczerba rozmawiał jak najrozsądniej, rozumował logicznie i nie stracił siły ani świeżości pamięci. W obecności obcych osób nie zdradzał się jeszcze żadnym ruchem ani słowem; ulegając mocy przyzwyczajenia, panował nad sobą, ale męczyło go to bardzo i potem godzinami siedział w fotelu nieruchomy z oczyma latającemi niespokojnie — albo z Olkiem układał bataljony blaszanych żołnierzy.

Baron za poradą lekarzy, wysłał go z Emą do Szwajcarji, chcąc dopóki się da ukrywać chorobę zięcia przed światem, w nadziei, że ten roztrój nerwowy spowodowany nadmiarem pracy, minie w spokoju i ciszy.

W istocie za przybyciem w góry, Szczerba uspokoił się, wydawał się przez kilka dni zdrów, silny i zabierał się nawet do pracy — ale wnet z większą jeszcze gwałtownością, powróciły dawne symptoma. -Nie mógł się teraz obejść bez żony; zaplątany w jej suknie jak dziecko, zamęczał ją ciągłemi wymaganiami i niestosownem chodzeniem po górach bez jednego dnia odpoczynku, wytchnienia... drapał się na wierzchółki z wytrwałością godną lepszej sprawy, po to tylko aby zszedłszy, wychodzić na nie powtórnie — nie zwracając wcale uwagi na piękność gór i nie widząc cudów przyrody.

Lekarze przebąkiwali teraz o wrzodzie formującym się w mózgu nie zatwierdzając jednak stanowczo tej opinji nie wykluczając możliwości powrotu do zdrowia, w razie jeżeli się okaże, że źródłem choroby są nerwy Ema żyła naprzemian trwogą. to nadzieją, okazując niezwykłą moc charakteru i odwagę w tym wypadku; niezmordowana jej cierpliwość i wytrwałość wywierały silny wpływ na Henryka; w miarę jak tracił przytomność i coraz częściej podpadał atakom gwałtownego strachu, jej głos tylko miał nad nim władzę i zaspokajał go. Lecz znowu wtedy nazywał ją Helenką i tuląc głowę do rąk jej szeptał najtkliwsze wyrazy miłości, które z ócz Emy łzy wyciskały i paliły jej lica ogniem gorączki i żalu.

Tak upłynęło lato — powrócili do kraju. Szczerba stracił pamięć, nie umiał już wyrażać swych pragnień, nie wiedział, gdzie się znajduje; lecz prześladowany bezustanną potrzebą ruchu i zmiany miejsca, palony tą dziwną manją uciekania, dniem i nocą, przebiegał szybkiemi kroki swój pokój z rękami złożonemi na piersiach, z ustami otwartemi—włosy okrywały się siwizną, twarz zmieniła do nie poznania a oczy płonące migotliwym blaskiem, rozszerzone niezmiernie, rzucały dokoła spojrzenia tropionego zwierza.

Wreszcie gdy ataki szaleństwa powtarzały się z coraz większą gwałtownością, stan chorego uznano za grożący

bezpieczeństwu innych i Ema musiała się zgodzić na rozłączenie z mężem.

* * *

Są cierpienia na które język ludzki nie ma wyrazu. Jeżeliś co całe życie pielęgnował, chował, karmił krwią serca własnego, aby to potem tracić w straszny, haniebny sposób, zanim czas miałeś siwą steraną głowę w grób złożyć; jeżeli patrzeć musisz na powolne męczarnie konania przedwczesnego tej ukochanej istoty, i czuć się bezsilnym w obec śmierci, co ją porywa na zawsze bezpowrotnie — oh! to lepiejby ci było mieć oczy i serce wydarte!

A biedna, stara Szczerbowa? Ileż ona nie wycierpiała.

Straszna choroba syna i ją prawie pozbawiała zmysłów. Rozpamiętywała swą przeszłość szukając w niej odpowiedzi, dlaczego, za co Bóg sprawiedliwy zesłał na jej głowę tak ciężką karę? Szukała grzechu we wszystkich tych pracowitych dniach swego życia — obwiniała siebie, oskarżała się, że to za jej winy Bóg karze dziecko! A za jakie? Ah! czyż nie miała nigdy w sercu zazdrości, gniewu, nienawiści zgniecionych wprawdzie w głębi piersi lecz niemniej przeto grzesznych w obliczu niebios!

Oddalona przestrzenią mil od syna, które w jej wyobraźni urastały do nieskończoności, cierpiała tem więcej, że nie mogła być przy nim; zdawało się biednej kobiecie, że uleczyłaby go swym wzrokiem potęgą macierzyńskiej miłości. — Później gdy Szczerbowie wrócili do kraju, Henryk matki nie poznał — było to nowe pchnięcie w serce i tak ciągle, ciągle, aż do dnia, w którym go znowu zabrano oddzielając go od niej, od matki murami szpitala odbierając resztę nadziei.

Drżąc w nieustannym dreszczu, skulona we dwoje, gdy nie pozwolono jej czuwać w szpitalu przy dziecku, wlokła się przez ulice miasta, nie mogąc nigdzie znaleść spokoju tak, jak i on. Ema spotkawszy ją raz zabrała do siebie i teraz stara Szczerbowa zachodziła tam czasem popatrzeć na Olka, znajdując może trochę ulgi w tem otoczeniu cichem i smutnem. W tydzień może jak go zabrali, przyszła tak raz wieczorem usiadła w kącie i usiłując się modlić powtarzała jedne i te same słowa pacierza, które pamiętała jeszcze: » Ojcze nasz, któryś jest w niebie!..« dalej zapomniała, przypomnieć nie mogła, kurcz zaciskał jej, gardło a zimne wargi sztywniejąc odmawiały posłuszeństwa.

Wieczór zapadał, przyniesiono lampę. Ema w drugim rogu pokoju siedziała nieruchoma, pogrążona w myślach, Olek bawił się w środku pokoju i uśmiechał się to do jednej, to do drugiej; podbiegał do matki i całował jej ręce a babkę ciągnął za fałdy sukni, zachowując się, jak mógł najciszej, chociaż gniewało go to, że obie takie smutne.

Z kąta dochodził co kilka minut szept starej Szczerbowej usiłującej się modlić. Ema powstała nagle i przystąpiwszy do starej, pocałowała ją w czoło. — Odwagi! odwagi! — rzekła półgłosem.

— Ojcze nasz któryś jest!.. jęknęła stara matka chwytając się rękoma za piersi i drżąc jeszcze silniej.

(Dokończenie nastąpi.)

ADAMOWI MICKIEWICZOWI

w 30-to letnią rocznicę śmierci.

Gdy Polskę w niewoli okuto kajdany,
A naród boleścią i męką znękany
Upadał — i w strasznej zwątpienia rozterce
Utracał już męztwo, nadzieję i serce.

I kiedy się zdawał zgnębionym, bezsilnym,
Gotowym już na sen w spokoju mogilnym,
Mickiewicz, w swą lutnię czarowną uderzył,
Obudził nadzieję, zwątpienie uśmierzył.

I pieśnią potężną, jak Tyrteusz nowy,
Zapalił do czynu, lud na śmierć gotowy,
A choć go nie odział tryumfem, zwycięstwem,
Rozpalił mu serca: miłością i męstwem.

Więc cześć Ci nasz wieszczu! cześć za to i chwała!
Więc cześć Ci niesiemy, niesie Polska cała,
I laurem grób wieńczy na którym niezmienna,
Na wieki, lśni sława, gwiaździsta, promienna.

Eustachy Śmiałowski.

Kronika literacka i artystyczna.

Literatura.

Nowe pisma. Od Nowego Roku przybędzie kilka nowych czasopism i tak w Warszawie ma wychodzić wydawane przez p. Piotrowskiego codzienne pismo „Ziarno“, w Poznaniu „Nowiny lekarskie“, we Lwowie ma się pojawić humorystyczne pisemko „Trefnis“.

Orzeszkowa pracuje nad nową powieścią pt „Chrzciciel potęgi“ Treści dostarczyły księgi Herodota, akcja rozgrywa się w Persji.

Nowe wydanie „Pana Tadeusza“ z ilustracjami Andriollego podjęła księgarnia lwowska H. Altenberga. Format ósemki. Pan Tadeusz wyjdzie w sześciu zeszytach z 24 ilustracjami. Cena niewygórowana.

„Potop“ Sienkiewicza dla ludu P. Sz. Parasiewicz autor wielu znanych powiastek dla ludu przyswoił znakomitą powieść Sienkiewicza literaturze ludowej, wplatając w opowiadanie swoje z czasów Jana Kazimierza kilka najpiękniejszych ustępów z „Potopu“. Rzecz ta pojawiła się w „wydawnictwie dziełek ludowych“.

Teatr i muzyka.

Sezon operowy we Lwowie rozpoczął się „Afrykanką.“ O nowych siłach operowych zastrzegamy sobie wypowiedzenie sądu do następnego numeru.

W kasynie miejskiem dano operetkę Wilhelma Czerwińskiego „Słowiczek“. Rzecz się ogólnie podobała.

W Warszawie w teatrze „Małym“ przedstawiono komedję p. Józefa Łozińskiego p. t. „Jestem literatem“. Autor wnuk Kraszewskiego zdradził w tym debiucie wybitny talent komedjopisarski.

„Kościuszko pod Racławicami“ Matejki wystawiony jest obecnie w wiedeńskim Künstlerhauzie i ściąga tłumy publiczności. Krytyka wiedeńska wyraża się o arcydziele naszego mistrza z wielkiem uznaniem.

„Lutnia“ lwowska urządziła 24. b. m, pierwszy wieczór muzyczny, na którym wykonano prześliczną „pieśń jesienną“, utwór Mendelsohna, dalej pieśni Galla, Beckera i Reichbergera. Debiutowała w koncercie tym panna Frenklówna obdarzona pięknym sopranem.

Dnia 26. bm. odbyło się w „Lutni“ doroczne walne zgromadzenie, na którem prezesem na rok przyszły został wybrany, ponownie p. Edmund Lukas, dyrygentami zaś pp. Cetwiński i Niewiadomski.

Pani Zimajerowa nie przybędzie w tym roku do Lwowa. Układ z dyrekcją lwowskiego teatru nie przyszedł do skutku.

Pp. Linkowscy zasłużeni artyści dramatyczni, wybornie znani publiczności lwowskiej, zostali zaangażowani na kilka występów do Lwowa. Pierwszy raz wystąpili pp Linkowscy w poniedziałek w „Grubych rybach“ i zostali przez publiczność przyjęci serdecznie. Razem z pp. L. wystąpiła i pna Szymańska utalentowana do ról naiwnych.

Sztuki plastyczne.

Leopold Horowitz, znany portrecista warszawski, zyskał ogromne powodzenie w peszteńskim „Künstlerhauzie“. Krytyka tamtejsza porównuje go z Munkacsy'm i Benczur'em. Portret Horowitza, przedstawiający Jokai'a, zapewnił mu sławę portrecisty nad Dunajem.

Słynny obraz Rafaela, „Złożenie Chrystusa do grobu“, skradziony został z kościoła św. Piotra w Perugji. Wszystkie wielkie galerje europejskie zostały zawiadomione o zniknięciu arcydzieła, celem zapobieżenia zakupowi obrazu i schwytania złodziei.

Kronika powszechna.

Z świata akademickiego. Wieczorek w rocznicę śmierci Mickiewicza urządzony we Lwowie 28. bm. w sali ratuszowej chlubnie świadczy o naszej młodzieży. Prezes „Czytelni akademickiej“ p. Łaszowski wypowiedział w zagajeniu obchodu uczucia, jakiemi młodzież jest ożywiona. Młodzież jest nawskróś demokratyczną. Prezes „Czytelni“ zaznaczył, iż młodzież pragnie program swój słowny zadokumentować czynami. Oczekujemy ich.

Piękną, bardzo piękną myśl podnieśli profesorowie wszechnicy lwowskiej, którzy postanowili z składek między sobą zarządzonych założyć „dom akademicki“, który ma pomieścić wszystkie stowarzyszenia młodzieży akademickiej, tak polskie jak i ruskie, pokoje gościnne dla chwilowo bawiących we Lwowie akademików, salę gimnastyczną, publicznych zebrań, szermierzy i t. d.

Projekt ten od lat wielu przedłożony przez samą młodzież nie był wykonalny dla braku środków materjalnych. Szlachetna ofiarność profesorów wprowadzi go niebawem w życie.

Matejko zaproszony przez dra Szaraniewicza do Lwowa na zwidzenie wystawy archeologicznej, przyrzekł iż przybędzie, jeżeli zdrowie mu na to pozwoli.

Wacława Florentyna Wolska z Kalisza uzyskała w jednym z uniwersytetów francuskich stopień lekarza. Panna Wolska po powtórzeniu egzaminu w uniwersytecie petersburskim, zamierza osiąść w Warszawie.

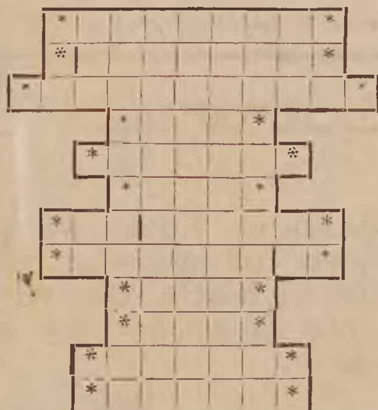
Pomnik Mirona Costina. W małem miasteczku Romanii pod Jassami odsłoniętym został pomnik Mirona Costina, mało znanego przez ogół poety i historyka rumuńskiego, lecz którego pamięć cenią wysoko wszyscy uczeni, a Mołdawianie czczą jako poetę historyka.

Mowa posła Romanowicza wygłoszona w tegorocznym Sejmie podczas rozprawy nad budżetem, wyszła w osobnej broszurze i sprzedaje się po 15 ct. Dochód przeznaczono na cele publiczne. Kupować ją można także w administracji naszego pisma. Jestto miła pamiątka dla wszystkich zwolenników prawdy i męztwa politycznego.

Zmarli.

† Prezydent Związku szwajcarskiego Hertenstein umarł w skutek amputacji nogi. W Budapeszcie zmarł literat Aleksander Fischer, skutkiem raka na języku. Ostatnią pracą Aleks. Fischera była biografja Petöfi'ego za którą otrzymał on od budapeszteńskiego Towarzystwa literackiego im. Petöfi, którego prezesem jest Jokai, dyplom członka honorowego. Fischer liczył 35 lat. — W Bukareszcie zmarł były minister Campineano.

Łamigłówka.



1) Władca turecki, 2) Szczep grecki, 3) Mąż z wojny 30-letniej, 4) Rzeka, 5) Plemię lettońskie, 6) Miasto w Saksonii. 7) Miasto w Niderlandach, 8) Imperator, 9) Król Sycylii, 10) Syn króla Myceny 11) Postać z „Wallensteina“, Schillera. 12) Historyk grecki

Litery po prawej stronie dadzą imię i nazwisko autora „Historii Francyi“ a litery po lewej męża, który mu w napisaniu tejże dopomagał.

☛ Jako premjum za rozwiązanie, przeznaczamy **nowellę M. Schmidta „Angielska historja.“**

Rozwiązanie łamigłówki.

Stopa — **Ł**aska — **O**rkan — **W**arta — **A**ron — **C**zart — **K**arp — **I**kar.

Słowacki.

Rozwiązanie kwadratu magicznego.

p	o	t	o	p
o	r	a	w	a
t	a	t	a	r
o	w	a	d	y
p	a	r	y	s

Rozwiązanie kryptogramu.

B	e	m
E	r	a
M	a	k

Rozwiązanie zadań nadesłali: Pp. Wanda Kopacz ze Stanisławowa, Emilia Niemczewska z Kozaczówki, Stanisław Faliszewski z Niżankowic, Józefowicz z Zarszyna, Jan Olszewski z Sambora, Z. Smolka z Drohobycza, Dora Lehmann z Wyżnicy, Kazimierz Nitsch z Krakowa, Stefania Dziubińska ze Lwowa, Jan Krzysztofowicz z Jarosławia, Fr. Sichrawa z Tarnowa, K. Hausser z Kołomyi, Druliński z Pełkinia, Władysław Frank z Dmytrowa, Henryka Jankówna z Hoszan, Magdalena Frenkel ze Lwowa, Laura Hausmann z Przemyślan, Zuzanna Beer ze Starego Sioła, K. Sozańska z Lubieniec, Stefania Eisenberg z Żurowa, Aleksander Godel słuchacz praw ze Lwowa, Marja Bernacka z Krakowa, Dr. Orłowski z Przemyśla, Jan Frej nauczyciel z Josefsdorfu. S. Plank z Kołomyi.

Po zarządzonem losowaniu nagrodę otrzymała p. **Stefania Dziubińska** ze Lwowa.

Korespondencje od Redakcji.

Wna Stefania Eis. w Żurowie. Premię wysłaliśmy całkiem pewnie. Proszę poturbować nieco urząd pocztowy.

Wny Falisz. w Niżankowicach. Zrozumie to pan wkrótce.

Wny Śmiał. w Krakowie. Dziękujemy pięknie.

Wny Olsz. w Samborze. Otrzymaliśmy i zachowaliśmy w tece redakcyjnej.

Redaktor odpowiedzialny: Stanisław Błotnicki.

Z drukarni nar. W. Manieckiego, zarządca Walenty Hodak.